

**Przy Sercu Jezusa. Życie i posługa kapłańska
Czcigodnego Sługi Bożego Serafina Kaszuby.**

Rozważania na nabożeństwa czerwcowe

1. Dzień urodzin Czcigodnego Sługi Bożego Serafina Kaszuby (17. czerwca)

Nabożeństwo z prośbą o beatyfikację

Po Litanii do Serca Pana Jezusa:

17. czerwca 1910 roku przychodzi na świat we Lwowie Czcigodny Sługa Boży Serafin Kaszuba. Mija dziś dokładnie 110 lat od tego dnia.

Panie Boże, w tym szczególnym dniu, kiedy szczęśliwie pozwoliłeś narodzić się Alojzemu Kaszubie, chcemy uwielbić Ciebie za jego życie i dzieło. Tak wielu ludzi doznało dzięki niemu Twojego miłosierdzia. Niestrudzenie głosił on Ewangelię i sprawował sakramenty święte na ogromnych obszarach Związku Sowieckiego. Nie uląkł się prześladowań ani trudów. W służbie Bogu i wiernym złożył w ofierze swoje zdrowie. Wielokrotnie aresztowany, doświadczający przemocy fizycznej i psychicznej oraz szkalowania w prasie, w końcu zesłany, wytrwał do końca w wierności złożonym ślubom zakonnym i kapłańskiemu powołaniu. Tobie, Boże, należy się w pierwszym rzędzie chwała i podziękowanie za te wielkie dzieła w jego życiu, ponieważ Twoja łaska jest zawsze pierwsza, cokolwiek dobrego nie uczynimy. Prosimy dziś o beatyfikację Czcigodnego Sługi Bożego Serafina, o cud uzdrowienia, który może zostać wykorzystany jako dowód jego świętości. Prosimy także za jego przyczyną o inne potrzebne nam teraz Twoje dary.

Modlitwa:

Boże Ojczy miłosierny, spraw, by Twój sługa, Serafin Kaszuba, kapłan z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów, został przez Kościół ogłoszony błogosławionym. On całe swoje życie poświęcił ofiarnej pracy, by Twoim dzieciom prześladowanym za wiarę nie brakło światła Ewangelii i łask płynących z sakramentów świętych. Za jego przyczyną proszę Cię, udziel mi łaski, której obecnie tak bardzo potrzebuję (chwila ciszy).

Proszę także o to, bym podobnie jak Czcigodny Sługa Boży Serafin we wszystkich zdawał się na Twoją Opatrzność i nawet w najtrudniejszych okolicznościach życia powtarzał: Ojczy, nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie! Proszę Cię o to w Imię Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela. Amen

9. października 2017 roku papież Franciszek ogłosił heroiczną cnotę skromnego kapłana z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów - Serafina Kaszuby. Panie Boże, prosimy i dla nas o wytrwałą nadzieję, silną wiarę, gorącą miłość do Boga i bliźniego. Niech nie zabraknie nam roztropności, sprawiedliwości, umiarkowania i męstwa, czyli cnot kardynalnych.

Czcigodny Sługa Boży może być dla nas także wzorem pokory, wytrwałości w cierpieniach i przeciwnościach. Naucz nas, Panie Boże, brać wzór

z dobra i heroizmu, które zawsze są obecne w Kościele w Twoich wybranych, aby cnoty te naśladować, a nie skupiać się na złu i zgorzeniach.

Tak wiele spraw współczesnego świata woła dziś o naszą miłość i naszą modlitwę. Panie Boże, pragniemy być i my sługami Twojej Ewangelii. W okresie, kiedy wciąż jeszcze trwa walka z pandemią koronawirusa, prosimy za przyczyną naszego patrona, który posługiwał zarażonym podczas epidemii tyfusu plamistego, o ustanie tej plagi, o zdrowie dla chorych i potrzebne siły dla personelu medycznego.

Prosimy za naszą Ojczyznę, Polskę, za naszych rodaków w kraju i za granicą, aby nie tylko zachowali nienaruszoną wiarę, ale jak Czcigodny Sługa Boży Serafin, umieli się nią także dzielić i ją przekazywać, umacniać w niej innych.

Prosimy za nasze rodziny, aby było w nich zawsze miejsce dla Jezusa, dla Tego, który daje nam swoje Serce. Niech nasze serca upodabniają się do Jego Najświętszego Serca.

Serce Jezusa, ze Słowem Bożym istotowo zjednoczone, niech Twoja Boska świętość dopomoże naszej ludzkiej słabości, abyśmy i My szli drogami doskonałości i zjednoczenia z Tobą. Amen.

II. Kazanie Czcigodnego Sługi Bożego Serafina Kaszuby o Najświętszym Sercu Jezusa – do odczytania w Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa.

„Nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana Jezusa ze względu na swą wzniosłość godne jest najwyższego polecenia.

Najświętsze Człowieczeństwo Jezusa, tak ściśle zjednoczone z Jego Boską naturą, że tworzy z nią jedną Osobę Słowa przedwiecznego, godne jest wszelkiej czci i chwały i to nie tylko całe samo w sobie ale też w poszczególnych organach. Jednym z najszlachetniejszych organów człowieka jest serce. Toteż Serce Boga - Człowieka jest czci najgodniejsze, a nabożeństwo, którego ono jest przedmiotem - najwznioślejsze.

Cena Serca Jezusowego przewyższa wszystkie skarby, jakie tylko pomyśleć możemy. To skarbnica niewyczerpana Krwi najdroższej, o której mówi Apostoł: „Odkupieni jesteście ceną wielką”.

Niesłychaną wartość Najświętszego Serca Jezusowego choć w części zrozumiemy, gdy pojmiemy, jak ważną rolę odgrywało ono w czasie Jego życia na ziemi. W sercu jak w zwierciadle odbijają się wszystkie nasze uczucia a i poruszenia duszy. Serce Boga - Człowieka brało czynny udział w uczuciach

Bożych względem nas. Odczuwało nasze nędze, cieszyło się naszą radością, ścisnęło się boleścią na widok naszych niedoli.

Kiedy Jezus-Dziecię w kamiennym żłóbku drżąc z zimna błogosławił - Serce Jego odczuwało radość pastusząt betlejemskich. Kiedy płakał nad grobem Łazarza - Serce Boże żalem ściśnięte również płakało. Kiedy dusza Zbawiciela smutna aż do śmierci w Ogrójcu ugięła się pod ciężarem win świata całego - Serce Boże nadmiernie pracując, Krwią Najświętszą skropiło obficie ciało i szaty. Serce Najświętsze trzy godziny biło na krzyżu, a każde jego uderzenie zwiastowało światu już rychłe dokonanie ofiary. A kiedy już bić przestało zatrzymane na czas krótki, jeszcze i wtedy ręka zbrodniarza nie pozwoliła mu spocząć. Z otwartej rany serca wypłynęła krew i woda - wszystko dało światu. I dziś jeszcze Serce Boże bije dla nas. Jezus ukazując Ojcu Niebieskiemu błyszczącą jak słońce ranę boku ofiaruje Mu zasługi Swego Serca za nas. Czyż za to wszystko nie winniśmy najgłębszej czci i hołdu Najświętszemu Sercu?

Jednak najważniejszym powodem, dla którego Kościół czci Serce Jezusowe jest to, że jest Ono symbolem miłości Zbawiciela ku Bogu i ludziom. Czcząc Serce Najświętsze cześć oddajemy miłości niezmierzonej, która była treścią całego życia Jezusa. Cóż zaś może być wznioślejszego i bardziej godnego czci, jak ta miłość przedziwną którą Pan „do końca nas umiłował”?

Miłość to najtkliwsza - bezinteresowna – dobroczynna; miłość mocna jak śmierć, niezwyciężona, której nasze zbrodnie i niewdzięczność zgasić nie może; miłość wieczna nigdy nie ustająca. Miłość wszystkie cnoty w sobie zawiera: „miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, miłość nie zazdrości, nie czyni złego, nie nadyma się; nie jest czci pragnącą nie szuka swego - wszystko znosi, wszystko wytrzyma”. Miłość Jezusowa zawiera te wszystkie cnoty w stopniu nieograniczonym.

A jednak jakże ona wzgardzona! Jak wielka niewdzięczność świata względem Serca Bożego. Jezus skarży się na to wskazując Swe Boskie Serce: „Oto Serce, które tak umiłowało ludzi, iż niczego nie szczędziło, owszem, wyczerpało się i wyniszczyło, by im miłość swą okazać, a zamiast wdzięczności otrzymuję od większości ich same tylko niewdzięczności, nieuszanowanie i świętokradzką oziębłość i pogardę”. Za tę niewdzięczność winniśmy Jezusowi wynagrodzenie - a najlepszym wynagrodzeniem jest nabożeństwo do Jego Najświętszego Serca.

Pan Jezus sam nas zachęca do tego i obiecuje obfite łaski tym, którzy czczą Jego Serce. Łaski wspaniałe - pomoc w godzinie ostatniej walki, wytrwanie do końca.

Serce Jezusa - to źródło łask, do którego Kościół stosuje słowa Izajasza: „zacerpniecie wody z radością ze źródeł Zbawicielowych”.

Obietnicę daną przed wiekami Serce Jezusa spełnia zawsze, kiedy się tylko do niego garniemy.

Toteż świat cały dziś rozbrzmiewa hymnem ku czci Jego. Łączmy się więc i my z czcicielami Boskiego Serca”.

Serce Jezusa, Syna Ojca Przedwiecznego, zmiłuj się nad nami, prowadź nas do Królestwa Twego Ojca. Amen.

1. Poświęcony Sercu Jezusa

17. czerwca, w miesiącu Serca Jezusowego, urodził się Czcigodny Sługa Boży Serafin Kaszuba, apostoł Kresów, Kazachstanu i Syberii. Został w dzieciństwie poświęcony Sercu Jezusowemu. Później, już jako kapłan, starał się, kiedy tylko była taka możliwość, aby odprawiać nabożeństwa ku czci Serca Jezusa; każdy pierwszy piątek miesiąca był dla Niego ważnym dniem, dniem szczególnej kapłańskiej posługi.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych *Strzępy*, przy okazji opisu pracy z niemieckimi katolikami w Kazachstanie, pisał o swoim nabożeństwie do Serca Jezusowego:

„1 VI 1966 r. O Serce Jezusa, u Ciebie schronienia szukamy w ucisku, niedoli. Dzisiaj od rana chce mi się śpiewać. I to na tę melodię, trochę świecką, którą słyszałem w Olesku. Chciałem nauczyć Niemców, bo mają też podobną pieśń, ale zaczęli zawodzić po swojemu. Niech tam śpiewają jak chcą, byleśmy mogli czerwcowe nabożeństwa odprawiać uroczyście. Dziś było zaledwie 8 osób, bo może nie wiedzieli, że postanowiliśmy schodzić się wczesnym rankiem, a zresztą przeszkadza praca i gospodarka.

Jakie było moje pierwsze spotkanie z Sercem Jezusowym? Pamiętam, że silne wrażenie wywarł na mnie żywot św. Małgorzaty Marii, który się znalazł pomiędzy książkami przyniesionymi przez o. Innocentego. Ten dobry ojciec, którego nazywaliśmy „Trzy kroki przez kościół”, bo miał nerwowy chód, sprawił mi tę prawdziwą ucztę duchową. Widocznie już wtedy wyczuwał mola książkowego. Były tam różności: jakieś podróże, żywoty, ale najcenniejsze to właśnie „*Objawienie*” i „*Miesiąc Czerwiec*” ks. Smolikowskiego, z którym długo się nie rozstawałem. Może też nie przypadkiem pani Kostkiewiczówna w nagrodę pilności ofiarowała mi śliczny obrazek Serca Jezusowego. Taki sam ma teraz Zofia w Zdołbunowie. Ile razy na niego spojrzałem, rozbudzała się tkliwość lat dziecięcych. Oprawiony w wiśniową ramkę, wisiał w domu nad moim łóżkiem. Gdzie się teraz znajduje?

Ale najsilniej przypomina mi się dzisiaj szpital Św. Zofii. Jakoś w rok po tragicznej śmierci Józia pochorowaliśmy się wszyscy na szkarlatynę. Najpierw zdaje się Maryśka, potem Janka, a na końcu, ale już najsilniej, ja. Przyszły komplikacje nerkowe i trzeba było odwieźć do szpitala. Stan był ciężki, bo dołączyło się zapalenie nerek. Nic z tego nie pamiętam, tylko tyle, że mój sąsiad obok umarł i cicho go wynieśli. Ze mną musiało też być źle, kiedy do łóżka dopuszczono Tatusia. Pochylił się nade mną i posłyszałem jego wyraźny głos: „Synu, teraz będzie już wszystko dobrze, bo poświęciłem cię Sercu P. Jezusa”.

Do dzisiaj nie wiem, czy było to wpisanie do Apostolstwa Modlitwy, czy jakieś szczególne wotum. Zdrowie rzeczywiście wracało. Pobyt w szpitalu się dłużył. Co dzień niecierpliwie czekaliśmy wyniku analizy. Nawet pamiętam, że byłem już za bramą w szpitalnym chałaciku z zamiarem ucieczki.

Te dziecinne i późniejsze czerwcowe wspomnienia można by snuć długo - poprzez Kraków z procesją z Rynku na Wesołą, Rozwadów, intronizację u młodej pary, Korzec, Równe z statuą przed kościołem. Wszędzie to samo, ukochane, tkliwe, pełne miłości Serce Jezusa. Ale rano trzeba wstać wcześniej, więc pora na spoczynek. Jeszcze jedno spojrzenie na napis umieszczony na ścianie: „Heiligste Herr Jesus, beschütze unsere Familie” (czyt. hajligste herr Jezus, besztice unzere familie), a nad nim słodko uśmiechnięty Jezus zdaje się mówić: „Ja śpię, ale serce moje czuwa”.

Akt ojcowskiej miłości, ofiarowanie syna Sercu Jezusa na pewno głęboko odbił się na życiu duchowym i przyszłości Alojzego Kaszuby, przyszłego Czcigodnego Sługi Bożego Serafina z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów. Ten wielki czciciel Serca Jezusowego w jedną z niedziel zapisał w swoim pamiętniku: „4 lipca 1969. Trochę mi przykro, że nie mogę odprawić wotywy o Najświętszym Sercu Jezusa, ale i niedzielna msza zgadza się z pierwszopiątkowym nastrojem. Św. Piotr nawołuje do bratniej miłości w Chrystusie, a w modlitwie wołamy o wszystko przewyższającą miłość”.

Serce Jezusa, rozkoszy wszystkich Świętych, naucz nas poświęcać Tobie nasze życie, nasze sprawy i naszych bliskich. Amen

2. Z obrazem Serca Jezusa nad łóżkiem

Alojzy Kazimierz Kaszuba, znany pod imieniem zakonnym Serafin, urodził się na peryferiach Lwowa, w robotniczej dzielnicy Zamarstynów 17. czerwca 1910 roku, jako syn Karola i Anny Kaszubów. Sakrament chrztu otrzymał 17. lipca 1910 w nowo powstałej (w 1904 roku) kapucyńskiej parafii świętego Franciszka z Asyżu na Zamarstynowie, z rąk kapucyna, także lwowianina, wybitnego kaznodziei, Anioła Madejewskiego.

Rodzice Alojzego należeli do III Zakonu św. Franciszka. Jego ojciec pracował jako monter w Zakładach Gazowych we Lwowie. Bardzo dbał o wychowanie swych dzieci. Odznaczał się pobożnością, przewodniczył w kościele parafialnym nabożeństwom drogi krzyżowej, odmawianiu różańca i innym. Matka Alojzego, Anna (z domu Horak), była także osobą głęboko religijną o silnym charakterze i lwowskich mieszczańskich manierach. Rodzina Kaszubów nie była zamożna. Dzieci wychowywane były w duchu patriotycznym i religijnym. Jak wspomina Czcigodny Sługa Boży Serafin Kaszuba, jako nagrodę za pilność w szkole otrzymał obrazek Serca Jezusowego, który wisiał nad jego łóżkiem. Tak po latach opisywał domowe zajęcia:

„Praca nie była dla mnie nigdy obcą. Może dlatego, że patrzyłem na zawsze zajętych rodziców, przywykłem do niej od dzieciństwa. Kiedy nikogo nie było w domu, bo ja byłem najmniejszy, a reszta szła do szkoły, lubiłem robić porządki - jak to wychodziło - to mniejsza. Pewnie niejednen garnek czy talerz się rozdwoił. Potem zabrałem się do zegarów. Trzeba było dobrze pilnować, żeby który nie został do reszty „naprawiony”. Lubiłem też robotę w ogrodzie. Na naszym małym ostrym skrawku albo na gminnej działce sadziliśmy kartofle, groch, fasolę, jarzyny. Trzeba było ciosać, wkładać tyczki, podlewać, plewić, jesienią zrywać dojrzałe strączki”.

Alojzy posiadał trójkę starszego rodzeństwa. Szczególna więź, o której świadczą zachowane listy, łączyła go z najstarszą siostrą, Marią, która zdobyła zawód nauczycielki i nie wyszła za mąż. Druga siostra, Janina, wyszła za mąż i miała dwóch synów: Kazimierza i Jana. Z najstarszym bratem Alojzego, Józefem, związana jest tragedia rodzinna Kaszubów. 19. czerwca 1919, w święto Bożego Ciała, utopił się on podczas kąpieli. Ta niespodziewana śmierć dotknęła boleśnie nie tylko wszystkich członków rodziny, ale też lwowskich kapucynów, którzy prawdopodobnie w tym swoim ministrancie widzieli kandydata do zakonu. W dniu pogrzebu Józefa, przełożony kapucyńskiego klasztoru we Lwowie, Czesław Szuber, powiedział Alojzemu: „Teraz twoje miejsce przy ołtarzu - musisz go zastąpić!”

Słowa te głęboko zapisały się w sercu młodego Kaszuby i stały się załączkiem przyszłego powołania kapłańskiego. Jako ministrant Alojzy służył przy ołtarzu, gorliwie modlił się w kościele, ale także pomagał w pracach w klasztorze i przy kościele:

„Po mszy świętej szło się na plebanię, gdzie brat Łazarz dawał śniadanie - w domu się nie przelewało - i z koszykiem w ręku szło się za altanę na agrest i porzeczeki. Kiedy rozpoczęła się budowa kościoła, ojciec Aleksander - świeć mu, Panie - zawsze znalazł jakieś zajęcie: to kamyczki zbierać, to jakieś deski, to wreszcie - dopiero później - przepisywać metryki”.

Serce Jezusa, pokoju i pojednanie nasze, bądź z nami w dobrej i złej doli, prowadź nas w naszej codzienności. Ochraniaj nasze rodziny! Amen.

3. Blisko Serca Jezusowego

„Batiarem ani rozbijką nie był. Był ministrantem”. Tymi słowami scharakteryzował jego szkolny okres kolega ze szkoły, Bronisław Gawron. 'Batiar' to słowo pochodzące prawdopodobnie z języka węgierskiego, które przyjęło się na stałe we Lwowie, gdzie podczas zaborów pracowali także policjanci z Węgier. Oznacza ono człowieka ulicy lwowskiej, zawadiakę.

Od 1. września 1916 r. Alojzy Kazimierz Kaszuba zaczął uczęszczać do sześcioklasowej Szkoły Podstawowej im. Juliusza Słowackiego na Zamarstynowie. Po ukończeniu czwartej klasy rozpoczął naukę w V Gimnazjum im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego we Lwowie. Jego katechetą był m.in. Tadeusz Kraus, późniejszy misjonarz w Estonii, z którym łączyły go do końca życia więzi przyjaźni.

Były to czasy, kiedy o edukację nie było łatwo, szczególnie było to trudne dla dzieci z rodzin robotniczych czy chłopskich. Dostęp do nauki nie był powszechny i wymagał sporych nakładów finansowych. Mimo tego Kaszubowie postanowili wykształcić swoje dzieci.

Alojzy Kaszuba był uczniem intelektualnie uzdolnionym, dobrym, choć nie celującym. W gronie uczniowskim ceniono go za uczynność i dobroć. Oto jak po latach wspominał go kolega szkolny, Bronisław Gawron, rówieśnik jego brata:

„Alojzy, chociaż był *ciamajdowaty*, co w lwowskiej gwarze oznaczało mało obrotny, niezdatny, to jednak był lubiany. Chętnie świadczył pomoc drugim. Był bardzo uczynny. Taki: „Lojzek - przynieś”, „Lojzek - podaj”, „Lojzek - podtrzymaj” i on to robił. Ani on, ani jego brat nie byli przez rodziców „chuchani”. (...) Chłopcy chodzili do szkoły pieszo. Lojzek nie dokuczał Żydom, jak to robili inni, ale to były takie uczniowskie wybryki, jak na przykład targanie za dzwonek przy drzwiach itp. Lojzek tego nigdy nie czynił. W piłkę nie grywał, nie brał też udziału w chórze. Był niezdatny do bójek. Chodził na zajęcia z gimnastyki, ale w ćwiczeniach się nie wybijał. Potem został nawet zwolniony z tzw. ćwiczeń cielesnych. Natomiast Józek, jego brat, to był taki nasz zamarstynowski chłopak. Alojzy to całkiem inny typ: spokojny, zrównoważony od młodzieńczych lat. Batiarem ani rozbijką nie był. Był ministrantem”.

Jako ministrant Alojzy starał się być blisko Serca Bożego, Serca Jezusowego, którego przedstawienie wisiało nad jego łóżkiem w domu rodzinnym. Zwykle był skromny, skupiony. W szkole nie był krzykliwy ani hałaśliwy, trzymał się jakby trochę na uboczu, ale był szanowany przez kolegów. Brał czynny udział w akademiach szkolnych i innych uroczystościach i dlatego jego nazwisko było znane wśród około pięciuset uczniów gimnazjum.

Nie należał do żadnej uczniowskiej *hebry*, jak nazywano uczniowskie grupy batiarów. Przynależał do kółek szkolnych: naukowego i historycznego. W kółku historycznym omawiano kwestie z zakresu historii starożytnej, powszechnej i polskiej. Na kółku naukowym, które zajmowało się różnymi tematami z dziedziny literatury i sztuki, w roku szkolnym 1926/1927 Alojzy Kaszuba wygłosił referat pt. „O powieści Prusa na tle pozytywizmu”.

Innym jego zamiłowaniem z czasów szkolnych było introligatorstwo.

Wynikało ono po trosze z tego, że Alojzy lubił książki. Jak wspominał: „Winien temu był po trosze ów gruby profesor robót ręcznych, który zresztą w nie wszystkie tajniki tej szlachetnej sztuki nas wprowadził. Bywało, że przynosił książkę, kleił, kroił, przykładał okładki, ale kiedyśmy się ciekawie przypatrywali, mówił, że właściwie tak się nie robi. Tego, jak się robi, nauczyłem się z szarego samouczka, który mi wpadł w ręce w jakiejś księgarni Bodaka czy na Batorego. Odtąd zaczęła się praktyka, której pastwą stały się przede wszystkim szkolne książki”.

Te umiejętności przydały się potem podczas misji na Wschodzie.

Serce Jezusa, w którym są wszystkie skarby mądrości i umiejętności, pobłogosław naszą naukę i pracę, nasze relacje rodzinne, koleżeńskie i sąsiedzkie. Amen.

4. Pierwszy ważny życiowy wybór

24. maja 1928 r. Alojzy Kaszuba zdał egzamin maturalny. Jego matka marzyła o tym, by Alojzy został lekarzem lub adwokatem. On jednak zapragnął wstąpić do Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów i zostać kapłanem. Tak wspominał potem: „Jakby w błyskawicznym jasnovidzeniu stoją w pamięci etapy przebytej drogi. A więc biała plama wyjętego z wody ciała. Na rozpalonej czerwcowym słońcem ziemi leży jak hostia na olbrzymiej patenie. Wszak to dziś Boże Ciało. Teraz twoje miejsce przy ołtarzu - musisz go zastąpić! Czy to był tylko głos o. Czesława, czy jakiś inny imperatyw, który latami nabierał coraz większej siły, aż wreszcie sformułował się w naiwnym błaganiu *przyjmij mnie do swej czeladki*”.

3. czerwca 1928 Alojzy Kaszuba napisał do ówczesnego prowincjała kapucynów w Krakowie prośbę o przyjęcie do zakonu. Rodzice zaakceptowali jego decyzję. Oto słowa ich listu do prowincjała:

„Najprzewielebniejszy Ojczy Prowincjale!

Nie tylko pozwalamy wstąpić synowi do Zakonu Kapucynów, ale usilnie o przyjęcie prosimy. Niech służy Bogu, Zakonowi i Ojczyźnie. Prosząc o modlitwę, kreślimy się ze czcią. Karol i Anna Kaszubowie. Zamarstynów, dnia 3 czerwca 1928 r.”

Wspominając dni poprzedzające swoje wstąpienie do zakonu, Czcigodny Sługa Boży Serafin napisał w pamiętniku: „W domu rodzice błogosławili: idź, jeżeli cię Pan Bóg wzywa, ale bądź dobrym zakonnikiem. Nic mi się nie przypomina z tego pożegnania, żadne słowa ni twarze. Może i wtedy mało co widziałem”.

Pod koniec lipca 1928 w towarzystwie swej siostry Marii, Alojzy Kazimierz Kaszuba dotarł do Sędziszowa Małopolskiego koło Rzeszowa, gdzie znajdował się nowicjat i zapukał do furty klasztornej. Rozpoczął się nowy okres jego życia. Tak opisywał ten moment:

„Jest coś szczególnego w pierwszym dzwonku przy furcie klasztornej. Podnosisz rękę do krzyża i tym prostym ruchem przekreślasz wszystko, co było: dziecinne zabawy, swobodę, może kaprysy. Pomiędzy jednym a drugim uderzeniem dzwonu - może to tylko bije twoje trochę rozdygotane serce - odzywa się głos. I oto teraz stoję przed zamkniętą furką jak dusza u wrót raju, a w uszach ni stąd ni zowąd brzmią słowa piosenki legionowej ojca Kosmy: *laguny chcą raju*”.

20. sierpnia 1928 r. Alojzy Kazimierz Kaszuba przywdział habit zakonny, rozpoczął nowicjat i otrzymał imię zakonne Serafin. Pragnął otrzymać imię Stanisław, na cześć świętego Stanisława Kostki, co dałoby mu jako orędowników trójkę trzech szczególnych patronów cnoty czystości: Alojzego Gonzagę, Kazimierza Królewicza i Stanisława Kostkę, ale podporządkował się decyzji przełożonych. Odtąd był już znany jako br. Serafin Kaszuba.

Serce Jezusa, źródło życia i świętości, prosimy, bądź z nami przy wszystkich decyzjach, abyśmy w naszych wyborach nie zapominali o Tobie. Amen

5. Jeszcze bliżej Jezusowego Serca

Czas nowicjatu to okres intensywnej formacji zakonnej. To okres poznawania i praktykowania tej formy życia, którą pragnie się podjąć i przez nią poświęcić się Bogu. Ten czas nie był dla brata Serafina łatwy. Uczył się pokory, nie tylko przyjmując nowe imię zakonne, ale też poprzez inne zakonne praktyki pokutne. Wspominał:

„Niezapomniane to były dni kiedy płacząc się w długich habitach przewracaliśmy się na schodach. Jeśli kto miał co jeszcze w ręce, musiał potem czerepy nosić na sznurku na plecach. To były praktyczne lekcje pokory”.

Jego chorowitość sprawiała, że myślano o wydaleniu go z zakonu. Wiele lat później wyznał w swoim pamiętniku:

„Ojciec Roman myślał słusznie: „Co z takiego zakonnika-cherlaka?” i zamierzał wywalić. Wiedziałem o tym i było mi przykro, że mu tyle sprawiam kłopotu. Może interwencja ojca Kosmy sprawiła, że zostałem, a może po prostu taka była wola Boża. Ale zawsze czułem się niepotrzebnym balastem, który lepiej wyrzucić za burt”.

W związku z remontem klasztoru w Sędziszowie Małopolskim na wiosnę 1929 nowicjat został przeniesiony do Krakowa. Troskę o opiekę duchową nad nowicjuszami w nowym miejscu powierzono br. Tadeuszowi Krausowi, którego brat Serafin i jego rodzina poznali jako katechetę we Lwowie.

Podczas formacji zakonnej br. Serafin nie zapominał o swojej rodzinie. Świadczy o tym jego korespondencja. Pisał do siostry Marii: „Nie chce mi się wierzyć, że już za tydzień upłynie rok mojego nowego życia, a za niedługi czas nastąpi profesja. Cały ten rok czasu tak szybko minął, jak nigdy chyba. Czasem

zdaje mi się nieprawdopodobne, czy to, o czym jeszcze tak niedawno się myślało dziś staje się już wyraźniejszą rzeczywistością. Boża to niezawodnie nieoszacowana łaska, za którą proszę dziękujcie wraz ze mną”.

8. września 1929 r. w krakowskim klasztorze kapucynów brat Serafin zakończył roczny nowicjat i złożył swoje pierwsze śluby zakonne na okres trzech lat. Rodzicom mimo wszystko nie było lekko przyjąć utratę syna dla Zakonu i Kościoła. Br. Serafin pisał do rodziców: „Proszę bardzo pogodzić się z takim porządkiem świata nielitościwego, któremu wszystkie przyjemności muszą ustąpić i w dniu mojej profesji pomodlić się przed cudowną Matuchną u jezuitów za tego, który w owym dniu będzie zaliczony do Bożej czeladki, czego tak bardzo pragnął”.

Serce Jezusa, w którym mieszka cała pełnia Bóstwa, prosimy dziś za wszystkich powołanych do Twojej służby. Daj im wytrwanie, a rodzicom nagrodę Twojej miłości. Amen

6. Przygotowanie do kapłaństwa, służby Bożemu Sercu

Po zakończeniu nowicjatu, pozostając w krakowskim klasztorze, brat Serafin rozpoczął studia teologiczne. Nadal borykał się z różnymi problemami zdrowotnymi, jednak przełożeni widzieli w nim już przede wszystkim przykładnego zakonnika, a współbracia kogoś, kto odznaczał się pobożnością, pokorą, pracowitością i sumiennością w wykonywaniu swoich codziennych obowiązków. Apolinary Borkowski, który przebywał z bratem Serafinem w domu nowicjackim, a później przez trzy lata w czasie studiów teologicznych w Krakowie, tak go zapamiętał: „Był to młodzieniec najzupełniej normalny i poważny. Nie silił się na żarty. W mojej pamięci zapisał się w nowicjacie jako miły współbrat. Był zdolny, spokojny, zrównoważony. Ciągłe siedział w księgach, czytał, studiował, był nastawiony na wiedzę i zajęty pracą naukową. Można go było nieraz spotkać w oratorium, gdzie adorował Najświętszy Sakrament, modlił się i coś zapisywał. To były jego prywatne modlitwy”. Inny współbrat, ojciec Marek Kolbuszowski, wspominał:

„Był zawsze bardzo skupiony, rozmodlony, w zdaniach oszczędny, ale rzeczowy i treść jego wypowiedzi była skondensowana. Mówił piękną, dobrą polszczyzną. Gdy się modlił, robił wrażenie skupionego, lecz nie był dziwakiem ani skrupulatem. Najnormalniejszy typ klero, studenta, zakonnika”.

9. września 1932 złożył wieczyste śluby zakonne, a kilka dni później, 16. września 1932 otrzymał święcenia subdiakonatu. Pisał do rodziny: „Prorok Dawid, przypominając sobie dobrodziejstwa otrzymane od Boga, wołał z uniesieniem: „Cóż oddam Panu za wszystko, co mi dobrze uczynił?”. I szukając głębiej w umyśle, znalazł ofiarę godną Majestatu Bożego - „Śluby moje Panu oddam” woła uradowany, że przecież jest coś, co zdolen jest złożyć Panu na ołtarzu ofiarnym. Tę samą ofiarę całopalną przyjął dziś Pan Bóg od nas pięciu, po

skończonych rekolekcjach. Wiem, że dzielicie moją radość i dziękujecie Panu Bogu wraz ze mną - przypomina mi to Wasz miły i bardzo kochany liścik, który przed chwilą czytałem”.

20. listopada 1932 r. był dniem święceń diakonatu. Dzień święceń kapłańskich zbliżał się niespodziewanie szybko. Pod koniec lutego 1933 ojciec Serafin tak napisał do swej rodziny we Lwowie: „Wiem, że tych pięć lat, które mnie dzieli od ławy szkolnej, na której różnie bywało, ale z pewnością więcej źle niż dobrze, to może za małe przygotowanie na tak wielką łaskę Bożą i tak niezmierny ciężar zaszczytu, ale mam także tę świadomość, że i lata bardzo długie nie upewniają nikogo, aby mógł powiedzieć, że jest godnym kapłaństwa Chrystusowego. Tu tylko wchodzi w grę modlitwa i łaska Boża. Toteż wszystkich modlitwom polecam się najgoręcej”.

11. marca 1933 roku br. Serafin otrzymał święcenia kapłańskie z rąk księdza biskupa Stanisława Rosponda. Mszę prymicyjną w krakowskiej wspólnotie klasztornej odprawił nazajutrz, a w swej parafii rodzinnej we Lwowie Zamarstynowie w dniu 16. kwietnia 1933, w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego. Jak to jest w zwyczaju, przy okazji udzielania błogosławieństwa prymicyjnego uczestnicy tej liturgii otrzymali pamiątkowe obrazki, na których br. Serafin Kaszuba postanowił umieścić słowa świętego Pawła z Listu do Filipian: „Mnie żyć jest Chrystus” (Flp 1, 21).

Prymicje br. Serafina były pierwszymi w parafii kapucynów na Zamarstynowie. Przed sumą wyruszyła w stronę domu Kaszubów uroczysta procesja. Przewodniczył jej proboszcz Aleksander Chmura, który młodego kapłana pamiętał jeszcze jako ministranta. Po przybyciu do domu podziękował rodzicom za dar Syna, który ukląkłszy prosił ich o błogosławieństwo. Procesja ruszyła w stronę kościoła. Prymicjant był otoczony biało - czerwonymi kwiatami. Nagle nastąpiła niespodzianka. Z bocznej uliczki na czoło procesji wysunął się szwadron ułanów, zorganizowany przez pierwszego kapelana legionów, Kosmę Lenczowskiego. Kazanie prymicyjne wygłosił br. Anioł Madejewski. Po Mszy Świętej w zamarstynowskim Urzędzie Dzielnicowym odbyło się przyjęcie.

Serce Jezusa, wszelkiej chwały najgodniejsze, prosimy Cię o nowych kapłanów, którzy będą Twoimi posłańcami, głosicielami Słowa Bożego i szafarzami sakramentów. Amen.

7. Przy sercu Jezusa. Pierwsze lata posługi kapłańskiej

Już po złożeniu wieczystych ślubów zakonnych, w październiku 1932 r., brat Serafin Kaszuba rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie na Wydziale Filozoficznym w zakresie filologii polskiej. Na ten okres życia nasz bohater patrzył później dość krytycznie. Pisał do rodziny:

„Ciekawym, czy ja się kiedy jeszcze spotkam z tymi kolegami, przy

których marnowałem czas zamiast zajmować się pożyteczną pracą, która by mi się przydała teraz i na wieczność. Tak było rzeczywiście - kiedy sobie przypomnę, że pisałem pracę magisterską o kierunkach w estetyce włoskiej, to klepię się po głowie i nie mogę sobie darować - na co to komu się przydało?"

Ta specjalistyczna formacja intelektualna nie była jeszcze bezpośrednią służbą bliźniemu. Jednocześnie jednak br. Serafin Kaszuba, już kapłan, chętnie poświęcał czas na spowiadanie wiernych, głoszenie kazań, odwiedzanie chorych. Pragnął całkowicie oddać się zaangażowaniu na niwie Bożej. Jego myśli i plany z tego okresu zdradzają listy. Pisał do siostry Marii: „Ja po prostu nie mogę żyć bez pracy i to bardzo intensywnej; takiej, która by mnie całego pochłonęła. Coraz więcej poznaję, że na zwykłego księdza-duszpasterza nie mam powołania. Chciałbym coś robić, działać coś konkretniejszego, być pożytecznym dla innych, nie tylko zwykłym zjadaczem chleba”.

Jego życie zakonne było wzorowe. Wspomina kapucyn, br. Alojzy Wojnar: „Sługa Boży bardzo kochał swój zakon. (...) Uważał się za duchowego syna św. Franciszka. Interesował się historią zgromadzenia, czczył patronów i świętych zakonu. Pamiętam z jego pobytu w Krakowie, że przestrzegał porządku dnia klasztornego, czuł się członkiem rodziny zakonnej i spełniał wszystkie zalecenia”.

W 1935 r. Serafin Kaszuba zostaje skierowany do redakcji nowo założonego czasopisma „Wzlot Seraficki”, którego celem miało być umożliwienie zarówno klerykom jak i innym braciom rozwijania talentu literackiego. W 1936 r. został redaktorem naczelnym. Tutaj przydały się jego studia polonistyczne. Następnie mógł służyć zdobytą wiedzą, gdy pod koniec 1936 r. zaistniała potrzeba zatrudnienia nowego profesora do nauczania języka polskiego w Kolegium Serafickim w Rozwadowie. Tam czekały na niego nowe obowiązki: posługa duszpasterska, nauczanie w Kolegium Serafickim i zaliczenie egzaminu magisterskiego.

Stopień magistra polonistyki otrzymał po przedstawieniu pracy magisterskiej zatytułowanej „Zagadnienie sztuki i życia na tle współczesnych kierunków estetycznych włoskich”, którą przyjęli profesorowie Stefan Kołaczkowski i Stanisław Pigoń. Profesor Stefan Kołaczkowski pragnął, aby ojciec Serafin został jego asystentem i z taką prośbą zwrócił się listownie do ówczesnego prowincjała, Kazimierza Niczyńskiego. W związku z tym pierwszy prowincjał odrodzonej Krakowskiej Prowincji Kapucynów podjął decyzję o przeniesieniu br. Serafina z Rozwadowa do Krakowa. Dokonało się to w czerwcu 1939 r., zaraz po zakończeniu roku szkolnego w Kolegium Serafickim. Po powrocie do Krakowa br. Serafin został mianowany wicedyrektorem czasopisma „Pokój i Dobro” wydawanego w krakowskim klasztorze kapucynów. Podjął również pracę duszpasterską zgodnie z poleceniem przełożonych.

Serce Jezusa, hojne dla wszystkich, którzy Cię wzywają, pouczaj nas i prowadź na wszystkich drogach naszego życia. Amen.

8. Przebite serce Boga. II wojna światowa.

W sierpniu 1939 r. br. Serafin udał się do rodzinnego Lwowa na wakacje. Tam zastał go wybuch II wojny światowej. Po jej rozpoczęciu do miasta zaczęli napływać uchodźcy z zachodu Polski. Do klasztoru kapucyńskiego we Lwowie Zamarstynowie przybywali także zakonnicy z Krakowa, Sędziszowa Małopolskiego i z Krosna, ale nie mogli zatrzymać się na dłużej. Szli dalej do innych klasztorów, dalej na wschód: do Kutkorza, Oleska, Ostroga. Mieszkańcy miasta dzielili się z uchodźcami dachem nad głową i chlebem. Z powodu braku miejsca w klasztorze br. Serafin przebywał w swym domu rodzinnym, w gronie najbliższych. Było to szczególnie ważne dla jego matki, która ciężko zachorowała. Oto jak po latach relacjonował tamte chwile:

„W klasztorze lada moment oczekują Niemców. Ktoś ich widział już na Konopnickiej. Naprężenie szalone i oto od węgła ul. Sklepińskiego idą zwartym szeregiem najpierw długie, w przód wyciągnięte sztyki, a za nimi czapy z pięcioramiennymi gwiazdami. Boże! Bolszewiki! To było coś tak niesłychanego, że nie było nawet miejsca na zdumienie. Skąd? Dlaczego? Nikt nie szukał wyjaśnienia przytłoczony przeogromnym przerażeniem. A co teraz będzie? Żydzi triumfują po ulicach w czerwonej orgii. Desperaci odbierają sobie publicznie życie. Do klasztoru wpada na spienionych koniach jakiś szaleńczy oddział: „Błogosławcie nam!”. To jakiś oddziałek gen. Sosnkowskiego. Pomknęli jak wichur. Dokąd? W domu mama szczęśliwa, że ich nie widzi. Boże, żeby tak umrzeć. W pewnym momencie wpada sąsiad, kapitan Kielb. Mężczyzna płacze jak dziecko. I oto Lwów ujrzał się czerwonym”.

Zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow Rosjanie zajęli wschodnie rejony Polski, m.in. Lwów. Rozpoczęły się aresztowania - najpierw oficerów i policjantów, potem inteligencji, urzędników państwowych, przedsiębiorców i właścicieli ziemskich, kapłanów i zakonników. Aresztowany został kapucyni: kapłani Aleksander Chmura, Roman Bałut, Albin Janocha oraz bracia zakonni Szczepan Jasnocha i Fabian oraz kleryk Szypuła. Po większości z nich ślad zaginął. Wielu kapłanów zesłano w odległe tereny Związku Radzieckiego lub zamordowano. Liczne parafie zostały pozbawione swych duszpasterzy.

4. kwietnia 1940 roku zmarła matka br. Serafina. Na pewno przeżył to bardzo głęboko. Jednocześnie nie czuł się już tak mocno przywiązany do Lwowa. We wspomnieniach tak później opisał ten okres:

„Teraz byłem już wolny. Można było posłuchać wołania Bolesława: lubisz lasy, wilki, przechadzki - tu będziesz miał wszystko - przyjeżdżaj. Ojciec Czesław ni radził, ni ganił. Pokazało się, że ks. Batowski porzucił parafię, która czekała na proboszcza”.

Mimo sowieckiej okupacji we wrześniu 1940 r. br. Serafin poprowadził doroczną pielgrzymkę ze Lwowa do Milatyna, odległego o ok. 60 km, gdzie wierni udawali się co roku z okazji święta Podwyższenia Krzyża. Tak pisał o tym wydarzeniu w swym pamiętniku:

„Cierpiący Pan Jezus miał zawsze atrakcyjną siłę - zwłaszcza teraz. Zebrała się nas spora gromadka. Wracając śpiewaliśmy „Serdeczna Matko”, a nasi jeńcy przy drogach płakali. Mielśmy pierwszy raz ostrą „pogawędkę” z konwojem”.

Serce Jezusa, dla nieprawości naszych starte, prosimy Cię o dar wytrwałości we wszystkich przeciwnościach. Strzeż nas od wszelkiego zła. Amen.

9. Serce Jezusowe krwawiące na Wołyniu

Za radą współbrata z zakonu, Bolesława Wojtunia, br. Serafin postanowił opuścić Lwów i udać się na Wołyń. Podróżując po różnych parafiach poznał warunki pracy na tamtych terenach, kościoły, ludzi i malownicze krajobrazy. Odwiedził Ludwipol, Równe, Międzyrzecz, Niewierówkę, Dermankę, Starą Hutę, Wierzycę, Józefno i Korzec. Zdał sobie sprawę z trudności, jakie przeżywał Kościół na Wołyniu i podjął decyzję o pracy właśnie tam, mimo że pozostawiona we Lwowie rodzina liczyła na jego powrót do rodzinnego miasta. Ksiądz dziekan Ludwik Syrewicz zwrócił się do niego z propozycją udania się do Karasina w diecezji łuckiej. Objął tam funkcję administratora parafii. Jej terytorium obejmowało siedem wiosek, w których mieszkało tylko około stu pięćdziesięciu wiernych.

22. czerwca 1941 rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka i wojska Trzeciej Rzeszy zajęły Wołyń. Rozpoczęły się akty terroru. Najpierw wojska niemieckie, a potem partyzanci UPA zabijali Polaków i palili polskie wsie. Oblicza się, że zginęło nawet do dwustu tysięcy Polaków. Z ziemi wołyńskiej zniknęło na zawsze wiele polskich miejscowości. Karasin padł ofiarą skrajnych nacjonalistów ukraińskich w sierpniu 1941 r. W czasie napadu Czcigodny Sługa Boży Serafin przebywał w Ludwipolu z okazji odpustu parafialnego ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa. Można powiedzieć, że Serce Jezusowe, które uratowało go podczas choroby w dzieciństwie, znów go ocaliło.

Po spaleniu parafii Czcigodny Sługa Boży Serafin z resztką wiernych schronił się w miejscowości Bystrzyca, gdzie zorganizował kaplicę. W zamieszkałej przez Polaków wiosce Niemili, oddalonej od Bystrzycy o ok. 2 km, rozpoczął nawet nowy rok szkolny. W najtrudniejszych czasach i warunkach ludzie próbowali żyć normalnie i nie tracić nadziei.

Kilka miesięcy później, gdy także Bystrzycę spaliły bandy, ojciec Serafin został wezwany do Dermanki, gdzie parafia została bez proboszcza. Była to miejscowość zamieszkała wyłącznie przez ludność polską i dobrze zorganizowana. Terytorium parafii obejmowało także pięć innych miejscowości. Poprzedni proboszcz rozwinął w niej prężną działalność duszpasterską i katechetyczną. Czcigodny Sługa Boży Serafin zorganizował stąd wyprawy duszpasterskie poza granice państwa polskiego z 1939, czyli za tzw. „kordon”. Odwiedzał rodziny polskie, które od czasów rewolucji październikowej, czyli

przez już blisko ćwierć wieku, były pozbawione opieki kapłańskiej.

Dzięki jego staraniom w miejscowości Horodnica, już „za kordonem”, odnowiono kościół, do którego przybywali wierni nawet z bardzo odległych miejscowości. Odnawiało się tam życie duchowe. Polacy uczestniczyli we mszach świętych i przystępowali do sakramentów. Wszystko to odbywało się pod okupacją niemiecką i pod okiem współpracujących z Niemcami Ukraińców. Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem 1941 r. Czcigodny Sługa Boży został aresztowany przez policję ukraińską i umieszczony w więzieniu w Ludwipolu pod pretekstem posiadania broni i posługiwania się radiem. W więzieniu przetrzymano go aż do Wigilii Świąt Bożego Narodzenia. Był brutalnie przesłuchiwany. Po uwolnieniu natychmiast powrócił do Dermanki, by odprawić pasterkę. Wspomina: „Raz jeszcze patrzę na datę: marzec 42 rok. Gdzie ja byłem wtedy? Może gdzieś w Karpiłówce czy Carowym Borze, bo z Dermanki robiliśmy wypad na wschód. Po grząskich piaskach zwiahelskich bezdroży stary Kiryłowicz lub starszy jeszcze Janek Lisowski popędzał całymi godzinami dobrze wymoszczony wóz, żeby dowieźć księdza do swoich. Była to radość, kiedy po latach 20 i więcej ujrzeli kapłana. Dom zmieniał się w kaplicę. Stary Goławski od wczesnego rana do sumy śpiewał godzinki, różaniec, potem jeszcze coś bez przystanku. Tekła zaś, jak Marta z Ewangelii, troszczyła się około bardzo wielu. W Karpiłówce był kościół zbudowany przez legionistów, kiedy szli na Kijów. Drewniany, wyniosły, na wzgórzu. Rządził w nim w czasie nieobecności księdza Janek, a zacna Drapikowska wyśpiewywała ciągnąc w nieskończoność cienkim dyszkantem: *Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud*. A Jezus słuchał i błogosławił żywym i zmarłym, bo i na cmentarzu radowały się kości poniżone, kiedy rozbrzmiewało tam od lat nie słyszane: *libera*. Zdaje się, że już w tym czasie odprawialiśmy pierwszą po latach kolędę w Zasimówce, [...] Hucie, Tesniwce. Coś podobnego się niełatwo zapomina. Do późnej nocy szła procesja z krzyżem od chaty do chaty, nie omijając prawosławnych, a na całą wioskę roznosiło się śpiewanie czy raczej radosny krzyk: *Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja, wiwat i Józef, z księdzem kompanija*. Nikt tam nie dbał o po-prawność tekstu, który w książkach wydrukowano inaczej. To krzyczały i radowały się serca, którym nareszcie wolno było swobodnie chwalić Boga!”

Serce Jezusa, królu i zjednoczenie serc wszystkich, uczyn z nas apostołów Twojej miłości, aby dobra nowina o zbawieniu mogła dotrzeć do każdego człowieka. Amen.

10. Pierwsze piątki na Wołyniu

W czerwcu 1943 r. nastąpił napad UPA na Dermankę. Polacy, którzy nie zginęli, schronili się w innych miejscowościach. Czcigodny Sługa Boży Serafin ocalał dzięki temu, że w czasie napadu przebywał w Horodnicy. Znowu miesiąc czerwiec, miesiąc Serca Jezusowego i odprawiane za kordonem nabożeństwa

czerwcowe ocaliły mu życie. W swym pamiętniku tak opisał te tragiczne chwile: „Była to już po Karasinie i Bystrzycach trzecia stracona placówka. Ile jeszcze ich przede mną? Teraz okazało się opatrnościowym, żeśmy odnowili kościół w Horodnicy. Zaczęli się w nim gromadzić obok wiernych miejscowych także niedobitki z popalonych wiosek. Z prowizorycznej ambonki Słowo Boże padało coraz obficie. Myślało się znowu o kłosach podnoszących się ku słońcu. Ale burza nadeszła rychło”.

Gdy w Horodnicy skrajni nacjonałiści ukraińscy zaczęli podpalać domy i mordować Polaków, Czcigodny Sługa Boży Serafin opuścił wioskę z grupą wiernych i udał się na wschód. Zatrzymał się w miejscowości Medwedowo, gdzie mieszkała spora grupa Polaków. Salę szkolną przystosowano do pełnienia funkcji kaplicy. Mieszkańcy Medwedowa przez jakiś czas czuli się bezpieczni, ponieważ znajdowali się w strefie działań partyzantów polskich z AK.

Pewnego dnia, na początku października 1943 r., Czcigodny Sługa Boży został poproszony o pójście do chorego w miejscowości Zapruda. Gdy wracał do domu, dzięki ostrzeżeniom, jakie otrzymał od ludzi spotkanych na drodze, wymknął się bandzie, która go poszukiwała. Nie wrócił już do Medwedowa, lecz udał się do Emilczyna.

W Emilczynie, paradoksalnie, ochronę dla polskiej ludności stanowił stacjonujący tam oddział niemiecki. Kiedy Niemcy się wycofali, trzeba było uciekać i stamtąd. Nocą Czcigodny Sługa Boży opuścił Emilczyn. Wędrując przez lasy i różne miejscowości, dotarł do Starej Huty. Dzięki stacjonującym tam oddziałom AK Polacy czuli się tam bezpiecznie. To w obronie tej wsi miało miejsce jedno z największych zwycięstw Armii Krajowej nad UPA.

W Starej Hucie było około ośmiu tysięcy Polaków, którzy przybyli z różnych terenów. Mieszkali w bardzo nędznych warunkach, odczuwało się ogromny brak środków higienicznych i żywności. Nie można się dziwić, że w takiej sytuacji wybuchła epidemia tyfusu, której ofiarą padł także ojciec Serafin. On sam tak wspominał to wydarzenie:

„Stara Huta, podobnie jak Lewacze, przedstawiała się jak obozowisko wszelkiej nędzy. Uciekinierzy z niedomordowanych wiosek zza Słuczy cisnęli się w ciasnych izbach po kilka rodzin, czasem po kilkanaście osób razem. Dokuczał głód i niedostatek. Zaczęła się szerzyć zaraza - tyfus plamisty. Co dzień trzeba było zaopatrywać kilkanaście osób. Czasem leżeli jedno przy drugim na podłodze pokotem, że trudno było przystąpić. Rosła też szybko liczba mogiłek na cmentarzu. Sytuacja się pogorszyła, kiedy zachorował sam ks. Ekiert. Jeździłem do niego, kiedy był w ciężkim stanie. Teraz pozostałem na wielkim terenie sam jeden. Nie wiem, jak długo to trwało, ale pewnie parę tygodni. Raz pojechałem po południu do wioski odległej 12 km. Nazajutrz był pierwszy piątek, ale czekali ciężko chorzy. Po udzieleniu Sakramentów św. położono mnie na przypiecku na krótki odpoczynek. Zbudziłem się z gorączką, która w powrotnej drodze się wzmogła. Do domu przywieźli mnie w stanie na pół przytomnym. Mieszkałem wtedy w chacie Hajdamowiczowej, daleko od kościoła, ponieważ plebanię

oddaliśmy partyzantom. Zaczęły się długie tygodnie walki ze śmiercią. Czasem zdawało mi się, że już nadchodzi. Zamiast tego jednak przyszedł ks. Ekiert, sam jeszcze ślaniający się na nogach. Chwała Ci, Boże. Lekarz obozowy ratował mnie zastrzykami, s. Czesława pielęgnowała wytrwale. Przyszło przesilenie i rekonwalescencja, ale w uszach jeszcze długo szumiało, choć trzeba było powrócić do pracy w kościele”.

Świadkiem tamtych dni, świadkiem choroby i posługi Czcigodnego Sługi Bożego Serafina była między innymi pani Bronisława Węgłowska, która wspomina:

„Sługa Boży, będąc jedynym kapłanem w tym wielkim skupisku ludności katolickiej, chrzczył, błogosławił małżeństwa, odwiedzał chorych, grzebał zabitych i umarłych. (...) W Starej Hucie cieszył się on szacunkiem nie tylko u katolików, ale i u Rosjan. Oni widzieli w nim „wielkiego duchownego” - „nieprzeciętnego człowieka”. Rosjanie do swoich duchownych zwyczajnie zwracają się słowem „batuszka”, a do księdza katolickiego „świeszczennik”. Słowo „pop” było wyrażeniem zwyczajnym. Stąd wyrażenie w ustach Rosjan „wielki duchowny” wskazywało na niezwykły szacunek wobec osoby Sługi Bożego.

Serce Jezusa, dobroci i miłości pełne, prosimy Cię o ustąpienie pandemii koronawirusa, prosimy o Twoją opiekę w niebezpieczeństwach. Amen.

11. Oparcie dla katolików

Wiosną 1944 wschodnie tereny Polski zajęła Armia Czerwona. Być może jeszcze niektórzy ludzili się, że ziemie te wrócą do macierzy. Czcigodny Sługa Boży Serafin postanowił pozostać wśród cierpiącej ludności polskiej. Po otrzymaniu formalnej nominacji na proboszcza w Starej Hucie od biskupa łuckiego Adolfa Szelażka, nie ograniczył swej posługi duszpasterskiej tylko do tej miejscowości, lecz służył wiernym zamieszkałym między innymi w Emilczynie, Krywotynie, Baraszach. Pani Genowefa Lewtak tak wspomina te czasy i zaangażowanie Czcigodnego Sługi Bożego Serafina w pracy na rzecz wiernych, zamieszkałych poza Starą Hutą: „W okresie Bożego Narodzenia w 1944 r. ojciec Kaszuba wziął około dwudziestu osób do Horodnicy, byśmy tam zaśpiewali kolędy. Chętnie poszłam ze względu na miejsce pochodzenia mojej mamy. Było to mniej więcej 20 km od Starej Huty. Poszliśmy piechotą, oczywiście Sługa Boży z nami. Świetnie chodził. Trudno mu było dotrzymać kroku. Pamiętam dobrze, że wyruszyliśmy skoro świt, doszliśmy tam około trzynastej. W kościele było bardzo dużo ludzi. Wrażenie początkowo bardzo przykre: kościół przerobiony na magazyn, bez krzyża, szyby wybite. Wiernych tam zebranych ojciec Kaszuba powitał, a my zaczęliśmy śpiewać kolędy. Ogólny płacz i radość. Ludzie klęczeli i nie dali się uspokoić. Wtedy zrozumiałam lepiej, kim jest dla człowieka Bóg, czym kapłaństwo i wiara. Sługa Boży ochrzcił kilkoro dzieci, pobłogosławił kilka małżeństw, spowiadał, udzielił Komunii Świętej,

którą przyniósł ze sobą. Dobrze pamiętam, że łamał komunikanty, widocznie nie spodziewał się, że tylu ludzi przystąpi. Robiło się już szaro, gdy wracaliśmy z powrotem. Pamiętam, że jak przyszliśmy do Horodnicy, byliśmy zmęczeni podróżą. U Sługi Bożego nie było widać zmęczenia. On się cieszył, że mógł ludziom pomóc. Podziwiałam jego odporność fizyczną. Zauważyłam, że świetnie orientował się w terenie. Widocznie chodził często tymi drogami, odwiedzając rodziny katolickie mieszkające po stronie dawnej granicy rosyjskiej”.

Zakończona 11. lutego 1945 roku konferencja w Jałcie pozbawiła nadziei Polaków na Kresach na włączenie tych terenów do Polski. Na wiosnę 1945 r. ogłoszono obowiązkowe przesiedlenie ludności polskiej z dawnych Kresów Rzeczypospolitej. To wygnanie nazwano repatriacją. W większości były to osoby w podeszłym wieku, kobiety i dzieci. Mężczyzn w dużej części aresztowano i wywieziono na Syberię lub wcielono do wojska sowieckiego. Nie wszyscy Polacy chcieli wyjeżdżać. Ludzie, którzy nie zdecydowali się na tzw. repatriację, uczynili tak, ponieważ czekali na powrót członków swoich rodzin, będących na różnych frontach z dala od swych domów, albo z uwagi na to, że nie chcieli utracić swojej własności.

Opuszczenie diecezji i wyjazd do Polski nakazano z ramienia władz sowieckich biskupowi diecezji łuckiej na Wołyniu, Adolfowi Szelażkowi, on jednak nie podporządkował się temu poleceniu. W konsekwencji, w nocy z 3. na 4. stycznia 1945 r. został aresztowany. Był więziony w Łucku oraz w Kijowie. W przeprowadzonym procesie zażądano dla niego kary śmierci. Intensywne starania o jego uwolnienie podjęła Stolica Apostolska, biskupi z Polski, a także dyplomacja amerykańska. Szczególnie zaangażowany w tę sprawę był biskup kielecki Czesław Kaczmarek, który był uczniem biskupa Szelażka. Zabiegi przyniosły pozytywny skutek, 14. maja 1946 r. biskup został zwolniony i deportowany przez NKWD do Polski Ludowej.

Wraz z nim zostali aresztowani inni kapłani pełniący posługę duszpasterską w Łucku. Wszyscy księża zostali oskarżeni o zdradę władzy radzieckiej na rzecz Watykanu i otrzymali zaocznie wydany wyrok skazujący ich na 10 lat karnych obozów pracy. Był wśród nich m.in. bł. ks. Władysław Bukowiński.

Podobnie musiał opuścić swoją diecezję abp. lwowski Eugeniusz Baziak. Tak wspomina ten exodus duchowieństwa Czcigodny Sługa Boży Serafin: „W Równem dwie strzeliste wieże witają nas krzykiem milczącej rozpacz. Jeszcze przed kilku miesiącami pytałem jednego pozostałego tam rezydenta (ks. Syrewicz w Dachau, Sikorski w Polsce): „Co masz zamiar robić?” „Ja nie wyjadę!” - brzmiała odpowiedź. I oto teraz dzwony milczą. Jacyś tankiści sterroryzowali go i to wystarczyło, żeby wierni pozostali sami. Zresztą, cóż się dziwić. Podobną rozmowę miałem we Lwowie z Ekscelencją. Kiedy po przyjeździe zastałem klasztor pusty, zaszedłem do niego poradzić się, bo był naszym przyjacielem: „Trzymajcie się, ojczy - rzekł dobrotliwie - ja nie wyjadę” - a wkrótce z Kurii nie pozostało śladu”.

Serce Jezusa, zbawienie ufających w Tobie, spraw, prosimy, abyśmy zachowali nienaruszoną nadzieję we wszystkich przeciwnościach. Amen.

12. Decyzja rozciągnięta na lata

Nie było już wspólnot kapucyńskich na Kresach, także ojciec i siostry Czcigodnego Sługi Bożego Serafina postanowili wyjechać do Polski. To oni w sposób szczególnie radzili mu, a nawet nalegali, aby ratował się i skorzystał z prawa do przesiedlenia.

11. sierpnia 1945 r. Czcigodny Sługa Boży udał się pociągiem repatriacyjnym do kraju, cały czas bijąc się z myślami:

„Dojeżdżamy do Zdołbunowa. Myśli się kłębią. Trzeba się zdecydować. Potem będzie za późno. Gdyby się kogo poradzić. Przypomina się jakiś głos. Ach, to ksiądz kanclerz Szych mówi: „Ojcze! My musimy wyjechać wszyscy, może ojciec pozostanie z pełnym prawem na diecezję”. Zdaje się, że odpowiedziałem z uśmiechem: „To już tylko brak sakry”. Wtedy nie wiedziałem, że pozostaje też ksiądz Jan. W każdym razie miałem już przy sobie dokument podpisany przez księdza Szumana: „do wyjazdu Polaków”. W Zdołbunowie nie było już czasu się namyślać. Kiedy pociąg z traskiem buforów stanął, wziąłem walizkę w rękę, pożegnałem się z jedną Aniłą i niepostrzeżenie przeszedłem tory. A rzeczy? Niech jadą cało do ojczyzny. Może niedługo będzie tam moja rodzina, może i ja. Wszakże „do wyjazdu Polaków”. A zresztą: „Nie miejcie trzosa ani torby podróźnej”.

Czcigodny Sługa Boży Serafin zaskoczył swoją decyzją parafian i znajomych. Pani Genowefa Lewtak wspomina:

„Do głowy nam nie przyszło, żeby ojciec Kaszuba z nami nie wyjechał. (...) Ale już przy pierwszym transporcie powiedział, że *choćby tu dwóch Polaków zostało, to ja będę z nimi trzeci*. To były tak ciężkie czasy. Tam w dalszym ciągu zawsze groziło niebezpieczeństwo utraty życia. (...) W pierwszej chwili nie mogliśmy zrozumieć, że on się nie ratował (...). To oznaczało prawie skazanie siebie na ofiarę. Po pierwsze nie było żadnych warunków bytowych: ani mydła, ani cukru, ani soli, wyniszczony cały kraj, nieobsiewany, bandy... Każdy maszynista odprowadzał transporty z różańcem w rękę, żeby szczęśliwie z tego terenu wyjechać. A ile transportów wyleciało w górę, wysadzonych z Polakami? I on w takich strasznych warunkach tam pozostał”.

Swoim bliskim napisał w liście, że w pierwszym rzędzie jest kapłanem, a potem bratem i synem. Jego decyzja musiała znaleźć potwierdzenie także ze strony przełożonych. Czcigodny Sługa Boży Serafin chciał zawsze działać w zgodzie ze ślubem posłuszeństwa. Dlatego pisał listy do kolejnych prowincjałów, z których żaden nie nakazał mu powrotu. Decyzje zostawiano jednak jemu samemu. Kościoły z krajów bloku wschodniego nie mogły przecież prowadzić działalności ewangelizacyjnej czy duszpasterskiej w ZSRR, posłać tam oficjalnie swoich misjonarzy. Oto jego pierwszy list z 1946 r., wyjaśniający podjętą decyzję,

do prowincjała Kazimierza Niczyńskiego:

„Przewielebny Ojcie Prowincjale!

Obawiam się, żeby zwłoka w moim powrocie nie była uważana za niesubordynację, jednakże czuję się zmuszonym jeszcze się usprawiedliwić. Żał mi pozostawiać wiernych bez żadnej opieki. Wprawdzie Polaków jest coraz mniej, ale pozostają katolicy Czesi, którzy podobno nieprędko wyjadą. Jest ich pewnie jakiś tysiąc albo i więcej, garną się obecnie do Kościoła - śpiewają w swoim języku i proszą, żeby ich nie opuszczać. Czy wolno mi w takich warunkach pozostawiać Kościoły na łaskę i niełaskę? Rodzina moja ze Lwowa już wyjechała, klasztor także - a więc zasadniczo nic mnie tu nie trzyma i na niczym mi nie zależy - tylko żeby spełnić wolę Bożą. Jaka Ona jest? Jeśli O. Prowincjał biorąc pod uwagę te warunki w jakich się znajduję każe przyjechać, nie będę więcej zwlekał i wyjadę z Komisją ewakuacyjną rówieńską za jakieś parę tygodni. Proszę mi jednak wierzyć, że żał mi tych ludzi, którzy mogą stracić resztkę wiary”.

Serce Jezusa, gorejące ognisko miłości, spraw, abyśmy umieli poświęcać nasze sprawy dla miłości Ciebie i bliźniego. Amen.

13. Kapłan według Serca Bożego

Pozostając w Równem Czcigodny Sługa Boży Serafin został ostatnim proboszczem na Wołyniu. Z Równego dojeżdżał do miast powiatowych dawnego województwa wołyńskiego: Dubna, Łucka, Zdołbunowa, Sarn, Ostroga, Korca, a także do innych skupisk Polaków.

Wspólnoty te powołały do istnienia specjalne komitety, które miały za zadanie troszczyć się o dobra kościelne, a także dbać o to, by od czasu do czasu przyjechał kapłan z posługą sakramentalną. Bliska znajoma Czcigodnego Sługi Bożego Serafina, której mąż działał w takim komitecie kościelnym, Julia Massalska, wspomina:

„On pocieszał nas, podtrzymywał na duchu. Jeździł między beczkami, rzeczami, zawsze pogodny i prosił o modlitwę. Odjeżdżał tak samo. Gdy odchodził, ktoś przed nim szedł, żeby go nie widziano. Jadąc samochodami ciężarowymi siadał w tyle. Był chory, biedny, wychudzony, tylko skóra i kosteczki. To taki naturalny męczennik. (...) Miał u nas nabożeństwo, po którym nie szedł na posiłek, ale kazał prowadzić się tam, gdzie są chorzy, starzy i tak mu przechodziła prawie cała noc. Nie przeszkadzało mu, że był śnieg, noc, zimno, deszcz. (...) Na Wielkanoc przyjechał po południu, a był taki zmęczony, że na kolanach się słał”.

Wspomina pani Stanisława Jasińska z Korca:

„Przede wszystkim cechowało go poświęcenie bez granic, podtrzymywanie na duchu, gorąca wiara w zwycięstwo dobra nad złem, przeogromna dobroć względem wszystkich. Pewna staruszka powiedziała: *To był święty człowiek. Myśmy mieli chleb, w co się ubrać, a on chodził głodny, nawet butów nie miał. Z*

tęgo, co się orientuję, u ludzi inteligentnych w sferach prawosławnych i ukraińskich cieszył się ogromnym szacunkiem. Mówili: *To był dobry człowiek*”.

Wacława Korzyn pisze: „Zawsze byliśmy poinformowani, kiedy przyjeżdża, bo nasza duża rodzina przygotowywała dla ojca chleb. Mógł jeść tylko sucharki, więc codziennie suszyło się kilka kromek. W Samborze ojciec Serafin pracował bez wytchnienia: spowiadał, zaopatrywał chorych, odprawiał w prywatnych domach Mszę Świętą, często pod osłoną nocy. Taka działalność uchodziła za nielegalną i sankcje mogły być groźne. Kiedy szedł do chorych, to ze względów bezpieczeństwa przeważnie to ja go prowadziłam. Wiedziałam, że nie wolno mi w tym czasie rozmawiać. Ojciec Serafin szedł kilka kroków za mną, co nie wzbudzało zainteresowania. Pewnego razu, kiedy szliśmy do części miasta nazywanej Wyspą, spotkała mnie koleżanka szkolna Luda i natarczywie chciała odprowadzić. W tym czasie straciłam ojca z pola widzenia. Myślałam, że to prowokacja. Wkrótce zobaczyłam, że ogląda zegarki na wystawie sklepowej z ręką w kieszeni, w której był Najświętszy Sakrament”.

Przez cały czas jego pobytu za granicą trwa korespondencja z przełożonymi. Pisze do prowincjała Kazimierza Niczyńskiego w 1946 r.: „Kilkakrotnie już odpisałem na list otrzymany od Przewielebnego O. Prowincjała na wiosnę, przedstawiając powody, dla których jestem zmuszony pozostać nadal na Wołyniu. Miałem nadzieję, że otrzymam jakieś wyraźniejsze zlecenia, które mi objawią wolę Bożą i pozwolą wyjść z dręczącej niepewności, jak postąpić, ażeby nie wejść w kolizję z sumieniem. Jako kapłan nie mogę z lekkim sercem pozostawiać choćby parę setek rodzin bez opieki i szukać wygodniejszego życia w klasztorze - jako zakonnik obawiam się posądzenia o samowolę i niesubordynację. Jedyne gdybym otrzymał nakaz powrotu „sub obedientia” mógłbym spokojnie wyjechać nie zastanawiając się nad konsekwencją tego kroku, od którego zależy niewątpliwie los wielu dusz”.

Dziesięć lat później kieruje list do prowincjała Ernesta Łanuchy: „Korzystam ze sposobności, żeby złożyć wreszcie moje niegodne homagium i nawiązać mocno rozluźniony kontakt z Prowincją. Miałem nadzieję, że uda mi się osobiście Was odwiedzić, ale moje starania odrzucono nawet bez podania przyczyny. Być może, że łatwiej byłoby otrzymać pozwolenie na stały powrót, ale na to teraz więcej niż kiedykolwiek moje sumienie mi nie pozwala. Znaczyłoby to przecież pozostawić bez opieki duszpasterskiej parę tysięcy wiernych zgromadzonych przy sześciu kościołach, które łaską Opatrzności już jedenaście lat utrzymujemy. Nieraz chciałoby się odpocząć troszkę w zaciszu, zwłaszcza kiedy się słyszy, że wszyscy, nawet z odległych stron gromadzą się pod skrzydłami Macierzy, ale może to już taka wola Boża, żebyśmy razem z O. Tadeuszem i Hilarym pilnowali Estonii i Ukrainy”.

Serce Jezusa, nieskończonego majestatu, dopomóż nam widzieć Twój majestat w każdym człowieku, a szczególnie we wszystkich potrzebujących. Amen.

14. Ubogi sługa Bożego Serca

O pełnej poświęcenia postawie Sługi Bożego opowiada Zofia Więckowska z Korca: „Ksiądz Kaszuba został na Wołyniu, bo mówił: „Z kim zostaną ci, co zostają?”. (...) Jego życie w tym okresie to jedno pasmo udręki, łez i bólu. Pamiętam jeden rok: chciał bardzo odwiedzić wszystkich parafian. Każdy mieszkał w odległych, nawet bardzo odległych od centrum miasta miejscach. Ci, którzy pozostali po 1945 w Korcu, to przede wszystkim staruszkowie, samotni i chorzy bez rodzin. Pani Sadowska, mająca dziewięćdziesiąt lat, mieszkała na stromej górze i bardzo trudno było dostać się do jej domu. Ktoś z parafian przybył do ojca Kaszuby i powiedział, że staruszka bardzo prosi, żeby przyszedł, bo chciałyby się wyspowiadać i przyjąć sakrament chorych. Ona już od kilku lat nie była w kościele z powodu wieku. Ksiądz stwierdził, że trzeba ją natychmiast odwiedzić. Zaplanowaliśmy, że udamy się nie gromadą, by nie wzbudzać podejrzeń, ale pojedynczo. Ja miałam iść z księdzem, bo znałam drogę i dom tej pani. Pamiętam, że było to w 1950, w dwa dni po Gromniczej, a więc 4. lutego. Zima była jakaś nietypowa. Wpierw padało, potem była odwilż, a za kilka godzin przyszedł mróz. Potem znów padało i znowu była odwilż przed mocnym mrozem. Drogi jezdne były oblodzone, a co tu mówić o ścieżce do domu pani Sadowskiej, który stał na górze, a z każdej strony skarpa i przepaść. Nasza podróż wyglądała tak: wzięłam gruby sznurek, idę pierwsza, no bo młodsza i zdrowsza, ksiądz trzyma ten sznurek, którym na dodatek go obwiązałam. Pamiętam, że na nogach miał dziurawe buty, a jego płaszcz był wiatrem podszyty. Szliśmy tak, że ja gołymi rękami czepiałam się zlodowaciałego śniegu, podciągałam księdza na sznurku, on posuwał się kilka kroków, wtedy ja znowu w górę. Parokrotnie upadliśmy i zjechaliśmy po śniegu na dół. Cały czas modliłam się do koreckiego cudownego św. Antoniego, by nam dopomógł, bo tam czekała na nas ta kobieta. Ksiądz powtarzał, że nie można jej zawieść. Kilkakrotnie powiedział nawet: *Rób, co chcesz, Zosiu, my musimy tam wejść*. Ja mówię: *Robię wszystko, ale już z wysiłku cała jestem mokra i zmęczona*. Po pięciu próbach dostaliśmy się na górę. Gdy rozwiązałam mu sznurek, a on popatrzył na dół, to powiedział: *I my się mogli tu dostać?*. A ja na to: *Dostaliśmy się. Ale jak my teraz, Zosieńko, zejdziemy?* - zapytał. Ja na to ze śmiechem, że będziemy się turlać. A on: „Ojej, my się pozabijamy”. Po chwili dodał: *O mnie nie chodzi, ale o ciebie, ty masz już dwoje dzieci*”.

Staruszka bardzo się ucieszyła. Cała drżała - nie wiadomo, czy z radości, czy może z choroby. Wyspowiadała się i przyjęła Komunię Świętą. Jedną z mieszkanek Równego, Janina Krawczuk, wspomniała zdarzenie, gdy Sługa Boży, pragnąc dostać się jak najszybciej do Korca, gdzie czekali na niego ludzie, jechał z bydłem na przyczepie, gdyż w szoferce nie było już miejsca. Jadwiga Kuczyńska zapamiętała poświęcenie ojca Serafina dla jej chorej matki:

„Było to w maju 1956. Moja droga matka była bardzo chora, posłałam więc do Równego po ojca Serafina Kaszubę. Ojciec Kaszuba był jednak w Sarnach. W tym czasie bowiem obsługiwał osiem kościołów. Pracy dużo, a zdrowia niewiele. Obiecali: jak wróci, to do Zdołbunowa przyjedzie. Nie przyjechał... a przyszedł piechotą!!! W tym czasie nie kursowały autobusy. Był bardzo zmęczony. Pytam go więc: *Dlaczego ojciec jest taki zmęczony?* A on odpowiada: *Bo przyszedłem piechotą.* Trzeba było poczekać na jakikolwiek transport, ale śmierć nie czeka. Moja matka była bardzo szczęśliwa, gdy zobaczyła ojca Kaszubę. Całowała jego obie ręce. Dziękowała. 19. maja 1956 zmarła. Sługa Boży grzebał ją. Dziękowałam Bogu i ojcu Kaszubie, że moja matka była pochowana po katolicku i po chrześcijańsku, co w tamtym czasie było bardzo trudne”.

Serce Jezusa, źródło wszelkiej pociechy, udzieli swojego pocieszenia wszystkim, którzy najbardziej teraz go potrzebują, w naszych rodzinach, parafiach, w Ojczyźnie i na świecie. Tobie chwała na wieki wieków. Amen.

15. Zjednoczony z Sercem Jezusa

W 1955 r. miała miejsce kolejna repatriacja Polaków zamieszkałych w Związku Sowieckim. Czcigodny Sługa Boży Serafin był świadom tego, że idąc za radą najbliższych i wyjeżdżając, musiałby opuścić tych, dla których był duszpasterzem i szafarzem Bożych sakramentów. W lipcu 1956 r. postanowił udać się jednak do Polski na dwa miesiące, by odwiedzić rodzinę i współbraci zakonnych. Niestety, władze nie tylko nie dały mu na to pozwolenia, ale wykorzystując okazję, pozbawiły go paszportu. Pozostał kontakt listowny z braćmi i rodziną, który Czcigodny Sługa Boży gorliwie podtrzymywał. Jak każdy człowiek potrzebował odpoczynku i spotkania z bliskimi. Pisze w tym czasie do prowincjała Ernesta Łanuchy:

„Chciałbym choćby na skrzydłach do Was polecieć, bo mi już ciężko kamieniem tych kilkanaście lat rozłąki. Nie ma czasu nawet odprawić uczciwych rekolekcji ani wypocząć fizycznie i duchowo, bo nie sposób znaleźć zastępstwo”.

Czcigodny Sługa Boży pracował na wielu polach duszpasterstwa. Sprawował sakramenty, nauczał, dbał o polskie dzieci i młodzież, organizował komitety przykościelne, by oprócz troski o dobra materialne kościołów, pomagały swym wspólnotom trwać w wierze i pielęgnować polskie tradycje. W jednym ze swych listów do rodziny napisał: „Ja już nie należę do siebie ani do nikogo i o niczym nie mogę myśleć osobistym - tylko się dziwię, że Pan Bóg taką nędzą się posługuje i jeszcze wynagradza tyloma radościami. Rezurekcja odprawiała się w Dubnie, Równem, Zdołbunowie i Korcu, potem w Sarnach na drugi dzień. Wszędzie jest Pan Jezus. Co za radość! Wszędzie dobre wdzięczne serca”.

W roku 1957 r. odwiedzili go jego ojciec i siostra Maria. Byli u niego pięć tygodni. W tym okresie nie zrobił sobie żadnej przerwy w pracy. Jego siostra, po powrocie do kraju, wyznała: „Kiedy przyjechaliśmy po prawie dwunastu latach

niewidzenia się z nim, myślałam, że poświęci nam więcej czasu, ale nie pofolgował sobie wcale i jeździł w kółko”.

Na horyzoncie zaczęły się jednak pojawiać czarne chmury. Uwadze partyjnych decydentów nie mogła ujść wieloletnia, skuteczna działalność skromnego kapłana z zakonu kapucynów. Aby ją zakończyć, postanowiono uciec się do wypróbowanej już przez nich metody tzw. artykułów demaskatorskich, czyli szkalowania w prasie niewygodnej osoby. W „Zdołbunowskiej Gazecie” na początku 1958 r. ukazały się dwa artykuły o Czcigodnym Słudze Bożym: „Za religijną zasłoną” i „Ziemskie dzieła księdza Kaszuby”. Pisano o podejrzanych relacjach z kobietą, o nadużyciach alkoholowych i oszustwach finansowych. Artykuły te miały być tylko pretekstem dla władz dla wydania zakazu pracy Słudgi Bożego. 11. kwietnia 1958 roku pracownik urzędu do spraw wyznań w Równem wezwał Serafina Kaszubę na rozmowę. W czasie jej trwania, powołując się na oczerniające publikacje, poinformował go o zakazie wykonywania jakichkolwiek czynności kapłańskich.

Wiele lat później wspominał Czcigodny Sługa Boży: „11 IV [1966]. Dziś ósma rocznica. Taki sam słoneczny, kwietniowy dzień. Tylko, że to było Równe, kościół, w którym jeszcze rano odprawiłem Mszę Św., choć było już wezwanie od Demczenka i kłębiło się niejasne przeczucie. Przecież wczoraj wyszedł paszkwil „o ziemnych dietach”. Pomodliliśmy się za zdrajców - coś w rodzaju „nie wiedzą, co czynią”. Zdaje się, że Teofila była w kościele i jeszcze niewiele osób. I oto słyszę słowa Demczenka: „Od dzisiaj nie masz prawa”.

Po wydaniu tego zakazu pisał w liście do rodziny: „Szkoda, że nie możecie przeczytać tych bzdurstw, bo byście się uśmiali choćby przez łzy z głupoty tych pismaków, którzy korzystają ze swobody obdzierania z czci upatrzonych przez siebie ofiar. Co do mnie jestem im nawet wdzięczny, ponieważ dopiero teraz czuję się prawdziwym uczniem Tego, który powiedział: „Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą i wszystko złe kłamliwie zarzucać będą”. Dlatego też cierpliwie czekam na wyjaśnienie sprawy, a wy też nie obawiajcie się niczego. Teraz mam więcej czasu, więc też wkrótce napiszę więcej. Obecnie ogarnia mnie lenistwo nawet do pisania. Po prostu śpię i jem i prawie nigdzie nie chodzę. Zacząłem wstawiać zęby, a potem będę odprawiać rekolekcje, już czas na nie po osiemnastu latach. Nie mogę bez wzruszenia myśleć o tym, jak dobry dla mnie Pan Bóg, że mi pozwolił jeszcze odprawić jubileusz a potem Wielkanoc wszędzie z całą uroczystością. Teraz ten przymusowy odpoczynek też pewnie ma swoje znaczenie w Opatrzności Bożej, bo dobrowolnie nigdy bym sobie na to nie pozwolił, zwłaszcza w tym czasie”.

Czcigodny sługa Boży jeszcze nie przeczuwał, że to koniec jego dotychczasowego sposobu posługi duszpasterskiej. Wkrótce potem zostały pozamykane kościoły w Równem, w Zdołbunowie, w Ostrogu, w Sarnach i wszędzie tam, gdzie funkcjonowały dzięki ostatniemu proboszczowi na Wołyniu. Do tego doszedł nakaz repatriacji skierowany do wszystkich pozostających tam jeszcze Polaków. Wzrosły naciski, aby i on wyjechał do Polski. Wyjazd doradzali

także jego najbliżsi: ojciec i siostra Maria. On jednak postanowił trwać na swojej placówce. Pisał: „Sprawiedliwe jest, żeby wierni mieli kościół i kapłana. Będziemy się domagać i czekać lepszych czasów, choćby przyszło w tym czekaniu znosić wiele trudów”.

Serce Jezusa, zelżywością napełnione, naucz nas wybaczać naszym nieprzyjaciołom. Amen.

16. Wędrowny apostoł

Czcigodny Sługa Boży pisał prośby do odpowiednich władz rządowych o przywrócenie mu prawa do swobodnej działalności duszpasterskiej i o otwarcie kościołów. Z tymi podaniami wysyłał też do władz państwowych różne komitety kościelne, by przez ich wstawiennictwo u decydentów mógł stać się legalnym duszpasterzem. Napisał nawet list do Chruszczowa.

Pod pozorem udzielenia Czcigodnemu Słudze Bożemu pozwolenia na pracę w Rogoźnicy, polskiej wsi na Białorusi, władze podstępnie doprowadziły do wymeldowania go, zaś w Rogoźnicy odmówiono mu zatwierdzenia jego posługi i zameldowania. Od tej pory stał się tułaczem w dosłownym tego słowa znaczeniu, nie mając stałego zameldowania. Na pytanie pewnej osoby o adres odpowiedział kiedyś z lwowskim akcentem: „Ta Związek Radziecki”.

Po jedenastym kwietnia 1958 r. rozpoczął ukrytą, nielegalną w oczach władz sowieckich, działalność duszpasterską. Czynił wszystko, co było w jego mocy, by swoją posługą objąć wszystkich wiernych pozostających na Wołyniu. Odprawiał im msze, udzielał sakramentów, podnosił na duchu, umacniał w wierze. Odwiedzał różne wspólnoty wiernych, którzy jak pierwsi chrześcijanie gromadzili się potajemnie w domach prywatnych, za zasłoniętymi szczelnie oknami. Sakramenty sprawowano najczęściej nocą. Przyjechawszy do danej miejscowości Czcigodny Sługa Boży często czekał do zapadnięcia zmroku, zanim udawał się do wskazanego domu, aby nie narazić jego mieszkańców, wychodził zaś na dworzec jeszcze przed świtem, aby wyruszyć w dalszą drogę.

Aby zorganizować taki przyjazd zachowywano pełną konspirację. Zaufane osoby otrzymywały wiadomość o jego przyjeździe telefonicznie lub telegramem, który zapowiadał wizytę kogoś z rodziny. Ich zadaniem było przekazać tę wiadomość innym wiernym, aby mogli się zebrać w większej ilości. Dla wielu z nich spotkanie z Czcigodnym Sługą Bożym Serafinem było ich pierwszym, a czasem ostatnim w życiu spotkaniem z kapłanem.

Pod koniec 1959 r. Czcigodny Sługa Boży Serafin udał się do Sambora, gdzie wielu rodaków przyjęło go z otwartymi ramionami. Władze nie dały mu jednak pozwolenia na stałe zameldowanie w tym miejscu, lecz wciąż zwodziły różnymi obietnicami. Pisał: „Z Równego się wymeldowałem, a na nowym miejscu nie chcą przypisać. (...) Teraz widzę, że trzeba widzieć zło tam gdzie jest, bo życie się mści, że się je ignoruje. Dla mnie te wstrętne felietony, kalumnie i

różne plugastwa, na które wysilają się już od roku, są straszną lekcją realizmu. Trudno - tego już nie zmienisz, że w człowieku siedzi bestia i depta kopytami miasto, jeśli się ją wyzwoli. Spotygam się na każdym kroku z takim potwornym kłamstwem i perfidią, że już mnie nic nie zdziwi, co by mi jeszcze powiedziano. Ale przecież inni przeżyli więcej i gorzej się z nimi obchodzono - nie ma się nad czym roztkliwiać". Władze szyderczo zaproponowały mu rozpoczęcie na nowo legalnej posługi kapłańskiej pod warunkiem, na który się nie zgodził. Wspominał po latach słowa urzędnika do spraw wyznań: „*Myślano, że z was człowiek szczerzy (otkrowiennyj)*. Dałem poznać, że nie rozumiem. *Ot tak, gdybyś wyszedł na ambonę i powiedział ludziom: nam niepotrzebny Papież, obejdziemy się bez Jana XXIII, on wróg Związku Radzieckiego, to i my nie chcemy mieć z nim związku - wtedy rozmawialibyśmy inaczej*. Otworzyły mi się oczy. Ach, to o to chodzi! Powiedziałem, że gdybym zrobił, czego oni żądają, wierni napluliby mi w oczy i nikt nie chodziłby do kościoła, bo oni są przyzwyczajeni do katolickiej wiary, a to byłaby zdrada”.

Serce Jezusa, krwawa ofiara grzeszników, prosimy, niech Twoja Najświętsza Krew obmyje nasze nieprawości, niech nam otworzy drogę do Twojego Królestwa. Amen.

17. Specjalne nabożeństwo na ten dzień jest na początku rozważań.

18. Pierwsza wyprawa do Kazachstanu

Latem 1960 r. Czcigodny Sługa Boży pojechał do Estonii, by odwiedzić swego współbrata, Tadeusza Krausa, którego znał jeszcze z czasów szkolnych. W tym czasie wyszła kolejna szkalująca publikacja, tym razem na Białorusi, w której była mowa także o nim. Pisał do rodziny:

„Nie martwcie się moją tułaczką. Czuję się wyśmienicie. Bawi mnie szalenie, że moje skromne nazwisko figuruje w literaturze. Szkoda, że nie mogę Wam posłać tej budującej książeczki, która wyszła niedawno w Grodnie pod obiecującym tytułem: *Katolicyzm bez maski*. Oczywiście nie chodzi tu o żadną maskaradę. O mnie jest tylko mała wzmianka obok Franciszka i kolegi, których uważa się za darmozjadów”.

W tym samym roku Czcigodny Sługa Boży pojechał do Leningradu, gdzie leczył swój słuch. W 1961 r. kontynuował posługę pasterską wśród wiernych Wołynia, Podola i Polesia. Był świadomy tego, że jest śledzony przez władze państwowe. Jednocześnie ciągle słyszał wieści o Polakach z Kazachstanu, wysiedlanych tam już od 1939 roku. Mieszkało ich tam od 60 do 100 tysięcy. Oni także potrzebowali kapłana. Ciągły proces rozeznawania woli Bożej podejmowany przez Czcigodnego Sługę Bożego, zaowocował nową decyzją. Tym większa była jego radość, gdy w końcu okoliczności pozwoliły na jej realizację.

W kwietniu 1961 r. pojechał odwiedzić wiernych mieszkających na Krymie. Tam zdecydował się na dłuższy pobyt w miejscowości Aleksandrówka, skąd udał się na krótkie odwiedziny do Tainczy w Kazachstanie. Pisał w pamiętniku: „Choć się dotychczas nie znali, jak ongiś w Emaus mieli się poznać przy łamaniu chleba. Trwały przygotowania, kiedy weszła jakaś kobieta z prośbą, żeby iść do umierającego ojca. Skąd się dowiedziała? *Już ja się domyśliłam*. To była pierwsza funkcja kapłańska. A potem? Radość, ruch, nowe życie. Boże, *Ty nas nie zapominasz*”.

Skąd wzięli się Polacy w Kazachstanie? Pisz o tym Czcigodny Sługa Boży: „Jakkolwiek wszyscy prawie pochodzą z różnych stron Ukrainy, to jednak każda niemal rodzina ma swoją własną historię, której na imię: wygnanie. W żyznych włościach na Podolu i Wołyniu żyło się nieźle - nawet zamożnie. Najważniejsze, że były ośrodki polskości i wiary - szkoły i kościoły. Nowa historia wszystko zmiotła. Przyszła kolektywizacja i wywłaszczenie. Wystarczył cień sprzeciwu, żeby ojca zabrali, a ją z nieletnim drobiazgiem wysłano na krańce świata. Ktoś przedarł się przez granicę. Wstąpił do seminarium i został księdzem, ale taki zaszczyt trzeba odpokutować. Rodzinę wywieziono - do Kazachstanu. Wywożono też całe wioski graniczne. Centrum Polonii utworzyło się na północno-zachodnich bezbrzeżnych stepowych obszarach około Pietropawłowska, Tainczy i Akmolińska”.

Po krótkim pobycie w Kazachstanie w 1961 r. Czcigodny Sługa Boży wrócił na Krym i tam kontynuował swą posługę. Znowu wyjechał na leczenie do Leningradu. Pracowała tam doktor Elżbieta Pawłowna, pobożna lekarka, która okazała się dla niego osobą opatrznościową. Na swoje utrzymanie pracował jako sprzedawca w sklepie zielarskim.

W lutym 1963 kapucyński wędrowny apostoł udał się do Estonii do Dźwińska (Daugawpils), gdzie odnalazł dalekich krewnych swej matki. Tutaj otrzymał pracę palacza w szpitalu przeciwgruźliczym. Tutaj też dotarła do niego bolesna wiadomość o śmierci ojca. Niestety, na wyjazd na pogrzeb było już za późno.

Serce Jezusa, nadziejo w Tobie umierających, wybacz naszym bliskim zmarłym ich winy, popełnione z ludzkiej słabości i przyjmij ich do Twojego Królestwa. Amen.

19. Czytanka na Uroczystość Najświętszego Serca Jezusa jest na początku rozważań.

20. Apostoł Kazachstanu

Jesienią 1963 r. Czcigodny Sługa Boży opuścił Dźwińsk i udał się do Kazachstanu. Swoim zaangażowaniem, skromnością, ubóstwem,

bezinteresownością szybko zdobył sobie zaufanie ludzi. Najpierw zatrzymał się w Tainczy, gdzie dla zmylenia władz zajął się introligatorstwem. Pierwszymi ośrodkami jego działalności duszpasterskiej były miasta Szortandy i Celinograd (obecnie jest to stolica Kazachstanu, nazywa się Nur-Sułtan, do niedawna Astana). Dojeżdżał również do okolicznych wiosek, w których mieszkali Polacy. W swoich wspomnieniach Czcigodny Sługa Boży opisuje ich losy: „Była późna mroźna jesień, kiedy znaleźli się w barakach pod gołym niebem na stepie. Potem zaczęto grupami rozwozić „na wioski”. Myśleli, że wreszcie odetchną pod jakimś dachem, ale pokazali im pusty plac wyznaczony na stepie kołkami: „oto wasza osada”. Zaczęła się mozolna praca od podstaw. Trzeba było z gliniastej ziemi formować kostki i z tych *samanów* budować chaty, niskie, duszne, na kształt kazachskich, kryte płasko również ziemią. Opalało się je suszonym owczym łąjnem. Te *kiziaki* wywołują swoisty gryzący odór. Kto zjadł przywiezione zapasy, przymierał głodem i jadł stepową trawę. Nawet jeśli było co do sprzedania, nie można było dostać się do miasteczka na targ, bo wioski były „pod komendanturą”, tzn. że bez specjalnego pozwolenia nie wolno było oddalać się poza obręb osady. Gdyby cudem udało się jakiejś zrozpaczonej rodzinie wyjść nocą z wioski i uciec, powierzywszy się Opatrzności, wtedy jednak groziła śmierć na stepie z głodu lub też z ręki Kazachów-tubylców, którym obiecywano zapłatę od głowy. Trzeba było iść nocami, a w dzień ukrywać się w rozpadlinach przed skwarem i zbójcami i przebyć tak tysiące kilometrów. O tych czasach głodu i nędzy krążą legendy. Ktoś szukając korzonków natrafił na jamkę chomika ze zbożem - widoczny cud, bo skrytek znalazło się więcej i można było oszukać głód - ale inni marli. Wyginęły prawie wszystkie dzieci, jak kwiatki zwarzone mrozem. Bo wkrótce przyszła zima. Straszna, mroźna, jakiej przedtem nie widzieli. Kto jej nie przeżył, nie wie, jak wyglądają kazachskie *buriany*. W jednej chwili świat staje się szaro-biały, szalony wichur jak trąba chwyta wszystko w swe wiry i rzuca człowieka o ziemię jak wiór. Opowiadają o dziewczętach, które wichura zasypała na śmierć, kiedy szły po wodę do studni. Czasem rano trzeba było robić formalne przekopy, żeby się wydostać z chaty pokrytej gładko z dachem śnieżnym całunem. Takim to wioskom nadano wcale romantyczne nazwy: Wiszniówka, Kalinówka, Jasna i Krasna Polana, a nawet Zielony Gaj. Stało się to jednak chyba później, kiedy zorano wielkie zagony i nawet tu, na dalekich azjatyckich stepach zaczęła się spełniać profetyczna zapowiedź Piasta Dantyszka: *złamani zawsze staniemy na nogi*. Polacy byli jak owce bez pasterza. Ich kościoły parafialne zostały już przedtem zniszczone, księża uwięzieni lub wygnani w różne strony. Czasem tylko udało się grupie zabrać krzyż z wielkiego ołtarza na pamiątkę. Chowają go jak drogą relikwię. Jeśli się zważy, że zasadniczo przesiedlony został najgorliwszy pod względem religijnym element, można zrozumieć ich dogłębny ból po stracie tego, co najdroższe. Ale też to tłumaczy, że tyle lat przetrwali. Z grubsza biorąc kilkanaście lat, bo aż do końca wojny nie mieli żadnego kontaktu z kapłanem. Sami chrzcili, uczyli dzieci, sami też dysponowali na śmierć i umierali. Wszędzie znalazła się jakaś oddana Bogu dusza, która spełniała te funkcje na pół kapłańskie.

Zasadniczą rolę odgrywali tu tercjarze, organiści, słudzy kościelni. Kiedy już zelżały okowy i można było zrealizować ten zamiar, nie szczędzili trudu, żeby być bliżej kościoła”.

Serce Jezusa, włócznią przebite, z Ciebie wzięły początek sakramenty Kościoła, spraw, prosimy, abyśmy zawsze z gorliwością przyjmowali łaski, które one niosą. Amen.

21. W wielonarodowym tyglu Kazachstanu

Oprócz Polaków Serafin Kaszuba troszczył się także o katolików niemieckich, których była w Kazachstanie znaczna ilość. Tak ich wspomina:

„Zanim jednakże nowy obraz zajmie naszą uwagę, trzeba zająć się drugim, obok Polaków, składnikiem elementu katolickiego w Kazachstanie, jaki tworzą Niemcy. Historia ich jest równie interesująca i - tragiczna. Przodkowie ich przybyli z różnych stron Niemiec - z Nadrenii, Westfalii, Bawarii na wezwanie Katarzyny II, która oddała im żyzne obszary nad Wołgą w celach kolonizacji. Kraina była istotnie urodzajna, toteż wkrótce powstały kwitnące osady i liczne parafie z ośrodkiem w Saratowie i innych nadwołżańskich miastach (...) W latach rewolucji prawie w ogóle przestała istnieć cała diecezja saratowska z katedrą, seminarium i biskupem. Potem likwidowano wszystkie parafie. I powtórzyło się to, co na Ukrainie: wywłaszczenie, tułaczka, nędza. Rozsypali się jak liście gnane wiatrem po Syberii, Kazachstanie, Kirgizji, aż gdzieś po kraj Uzbeków i Tadżykistan. Zaludnili obozy przymusowej pracy, fabryki, kopalnie, często nie wiedząc jedni o drugich. W czasie wojny stan liczebny Niemców-wygnańców jeszcze się zwiększył. Można zaryzykować twierdzenie, że dziś w Kazachstanie nie ma prawie większego ośrodka, gdzie by ich nie było. Ogólnie biorąc, ludność niemiecka miała z początkiem przymusowej emigracji lepsze warunki duszpasterskie. Jeszcze dziś słucha się ze wzruszeniem ich modlitw „na dobranoc”, które odmawiają zawsze z rozkrzyżowanymi ramionami, bo tak ich nauczył ostatni proboszcz. Zresztą ten ostatni duszpasterz nie opuścił ich do końca. Był to czcigodny Pater Staub (czyt. Sztaub), który umarł kilka lat temu w Karagandzie”.

Z czasem Czcigodnemu Słudze Bożemu udało się rozszerzyć jeszcze bardziej swoją działalność i nawiązać kontakt z rodakami zamieszkałymi w Pietropawłowsku, Tomsku, Omsku, Nowosybirsku, Kańsku, Ałma-Acie, Krasnojarsku, Kokczetawie i innych. Korzystał z wszystkich możliwych środków lokomocji. Niejednokrotnie duże odległości pokonywał pieszo.

Jadwiga Riedwaniecka tak wspomina pierwsze przybycie Czcigodnego Sługi Bożego do Kokczetawu:

„Najpierw powiadomił mnie pewien znajomy, że do nas przyjedzie ksiądz. Powiedział, że nas uprzedzi o jego przyjeździe. Nie było wiadomości. U nas zbierali się ludzie przed większymi świętami, modliliśmy się, śpiewali i to całą

noc. Pamiętam, że zbliżała się Wielkanoc i jak ludzie zbierali się w Wielką Sobotę. W nocy ktoś zapukał, przyszedł ten człowiek i z nim Sługa Boży. Zaraz zasiadł do spowiadania. Sporo ludzi skorzystało. Potem mówił kazanie i zaintonował: „Wesoły nam dzień nastał”. Ludzie zaczęli płakać, bo nikt nie przypuszczał, że ksiądz będzie u nas na Wielkanoc. On odwrócił się i z miłym uśmiechem powiedział do ludzi: *Czemu płaczecie, przecież mamy Wielkanoc, winniśmy się cieszyć*. W czasie Eucharystii udzielił komunii świętej, a potem wszyscy zadowoleni rozeszli się pojedynczo do swoich domów. Tego przeżycia nigdy nie zapomnę”.

Życie wiernych w Kazachstanie, podobnie jak na Wołyniu, przypominało funkcjonowanie pierwszych chrześcijan z czasów katakumb. Msze Święte i różne nabożeństwa odprawiane były po domach nocami, przy zasłoniętych oknach. Czcigodny Sługa Boży nigdy się nie oszczędzał. Nie zwalniał tempa swego apostołskiego zaangażowania niezależnie od ciężkich warunków klimatycznych, trudów podróży, słabego zdrowia, zmęczenia, niewyspania i niedożywienia. Ryzykował także swoje życie. Adolfina Miller wspomina:

„Pamiętam, gdy pewnego razu jechałam autobusem, jakieś podrostki śmiały się z niego, targając go za włosy, a on spokojnie siedział. Zdarzyło się, że ktoś napadł na ojca Serafina i wrzucił go do studni. Na szczęście nie było w niej wody i został wyciągnięty”. Leon Kostecki opowiada:

„Od Sługi Bożego wiem, że był aresztowany w Celinogradzie na ulicy i wywieziony na jakiś cmentarz, około sto kilometrów, i tam porzucony prawie umarły. Nad ranem ocknął się. Poszedł do pobliskiej rzeki umyć się i nad brzegiem spotkał rybaka, Niemca. Ten po zorientowaniu się, że to ksiądz, wziął go do siebie i nakarmił”.

Serce Jezusa, odwieczne upragnienie świata, króluj nam i prowadź wszystkie narody ziemi, abyśmy żyli w pokoju na drodze do Twojego królestwa. Amen.

22. Skazany dla Chrystusa

Czcigodny Sługa Boży Serafin wyjeżdżał co jakiś czas z Kazachstanu i udawał się do Moskwy, Leningradu, na Litwę i do Estonii w odwiedziny do znajomego kapucyna, Tadeusza Krausa. Jego działalność duszpasterska miała więc szeroki zasięg. Latem 1965 r. przybył do Polski ksiądz Władysław Bukowiński (dziś już błogosławiony), jeden z głównych duszpasterzy Polaków w Kazachstanie. Zatrzymując się w Krakowie, odwiedził prowincjała kapucynów, br. Hieronima Warachima, i przedstawił mu sytuację w ZSRR oraz opowiedział o ofiarnej posłudze swojego przyjaciela, Serafina Kaszuby. Po wysłuchaniu tej relacji prowincjał za pośrednictwem księdza Bukowińskiego przekazał Czcigodnemu Słudze Bożemu wyrazy uznania i zachętę, by posługiwał nadal

swym wiernym, kierując się w swej działalności tym, co dyktowało mu sumienie. Tymi słowami Czcigodny Sługa Boży poczuł się bardzo podniesiony na duchu. Tym bardziej, że praca nie była łatwa. Píše we wspomnieniach z Kazachstanu:

„Było to w któryś jesienny Pierwszy Piątek. Ten dzień zaczyna się zwykle o północy, żeby wykorzystać czas. Nabożeństwo u Niemców było ożywione. Rano oczekiwali Polacy i to w miejscowości odległej, do której trzeba było jechać autobusem. Ponieważ po nocnej Mszy św. pozostały Komunikanty, trzeba je było przewieźć na nowe miejsce. W autobusie przed samym odjazdem zjawił się nagle czarny milicjant. Dawał tajemnicze znaki, żeby iść za nim. Nastąpiła indagacja: skąd, do kogo, w jakim celu? Nie znałem żadnego nazwiska, drżałem tylko przed profanacją, ale świętych Postaci nie można było ukryć przed argusowym okiem. W urzędzie trzeba było wysłuchać ostrych słów i oczywiście zabroniono jechać dalej. Pierwszy Piątek przepadł, ale P. Jezus *przeszedł mimo i uszedł ich rąk*. Nie zamierzam opisywać dalszej drogi krzyżowej. Niech tylko kilka telewizyjnych obrazków wystarczy jako wprowadzenie do szkicu o katakumbowym życiu naszych braci w Kazachstanie”.

Działalność Czcigodnego Sługi Bożego stawała się coraz intensywniejsza. O jej skali dają wyobrażenie jego wspomnienia: „Myślę o Pierwszych Piątkach w Kazachstanie. Jest to wszędzie dzień niezwykle uroczysty. Jakkolwiek różne przeszkody powodowały odchylenia od stałego, z czasem jednak utrwalił się schematyczny porządek. A więc w Tainczy we czwartek wieczorem odprawiają „Godzinę Świętą”, potem następowała spowiedź, a po północy rozpoczynała się Msza św. Czas był ograniczony, bo trzeba było zdążyć na pociąg; toteż po litanii z wystawieniem ktoś biegł na stację po bilet, a celebrans z asystą również dążył spiesznie za nim. Było idealnie, jeżeli znalazł się motocykl lub prywatna maszyna. W przeciwnym razie trzeba było dobrze spieszyć, żeby zdążyć na pociąg odchodzący nieco po północy. W nabożeństwach trzymaliśmy się czasu miejscowego (3 godz. różnicy), rozkład był więc dogodny. W miesiącach letnich bywało, że biletów nie dawali; wtedy jechało się na gapę, na czym zarabiał konduktor. Do Celinogradu pociąg jedzie 7 godzin, a więc przychodzi o godz. 11. W tym czasie ludzi nie może być wiele, ale gorliwsi czekają u Emmy, a jeżeli są to wakacje, to i dzieci Katii. Niemieckie nabożeństwo przeciąga się dość długo, bo po Mszy św. odczytuje się akty z podręcznika diecezji kolońskiej. Główna jednakże uroczystość odbywa się wieczorem w Szortandy. Jest to stacja odległa od Akmolińska 70 km w powrotnym kierunku. Można też jechać taksówką, co się często zdarza, kiedy nie można zdążyć na pociąg. Tu już nie trzeba się spieszyć. U Kazimierza można godzinkę spocząć, zanim przypędzą krowy z pastwiska. O zmroku idziemy tam, gdzie uprzednio wyznaczono. Tych punktów bliższych czy dalszych jest sporo. Kto ma odpowiednie pomieszczenie, godzi się „brać nabożeństwo” na miesiąc czy dwa i tam na czas nabożeństwa przenosi się Najświętszy Sakrament, przechowywany zwykle gdzie indziej. W ołtarzu znajduje się przerośnięte tabernakulum z tronem i paramenty. Tylko kielich przywozi celebrans. Stary Anastazy już zaczął „Godzinki”, wierni spowiadają się

w przyległej izbie. Na uroczystej Mszy Św., litanii i błogosławieństwie czas schodzi do północy. Tercjarze upominają się jeszcze o absolicję, a czasem czekają chorzy. Żal, że ten dzień ma tylko 24 godziny”.

6. marca 1966 r. Czcigodny Sługa Boży został aresztowany na ulicy w Celinogradzie i osadzony w więzieniu. Proces sądowy przeprowadzono bardzo szybko. Kapłan został posądzony o włóczęgostwo i skazany na pięć lat zesłania. Kara polegała na wywózce do odległego miejsca i stałym policyjnym nadzorze. Nie wolno mu było opuszczać terenu zsyłki i należało tam znaleźć pracę.

Serce Jezusa, cierpliwe i wielkiego miłosierdzia, przymnóż nam wytrwałości w utrapieniach, aby żadne zło nie zdołało nas oddalić od Ciebie. Amen.

23. Zesłaniec

Pierwszym miejscem zsyłki Czcigodnego Sługi Bożego była miejscowość Arykty. Mimo że był tam zesłany do pracy w sowchozie, żadnego konkretnego zajęcia nie dostał z powodu inwalidztwa trzeciej grupy i słabego słuchu. Na zesłaniu na szczęście było wolno pisać listy oraz przyjmować gości. Napisał siostrze: „I do nas niedołącznych stosują się słowa Mistrza: *Gdyś był młodszym, chodziłeś kędyś chciał, lecz gdy się postarzejesz, pociągną cię, gdzie nie zechcesz.* Dla Świętego Piotra oznaczało to krzyż głową na dół, dla takich marnych sług jak ja znajdzie się też maleńki krzyżyk, aby uświęcić choć niegodną ofiarę. Inaczej cóżby była warta cała praca?”

Na zesłaniu Czcigodny Sługa Boży miał więcej wolnego czasu, który postanowił wykorzystać dla spisywania wspomnień, które zatytułował „Strzępy”. Opisuje w nich m.in. swoje skazanie:

„Św. Aleksy, namiętny wędrowiec-pątnik, jest mi znany jeszcze z lat gimnazjalnych. Szkoda, że teraz nie mam tego tekstu, na którym uczyliśmy się dawnej polszczyzny. Obecnie jest mi on znacznie bliższy przede wszystkim dlatego, że mnie sędzono właśnie za żebractwo. Gdybyś Ty, św. Awanturniku żył w naszych czasach i wędrował nie po Azji Mniejszej, ale po nieobjętych przestrzeniach Kraju Rad, nie dano by Ci tak łatwo umrzeć nie poznanym przed progiem ojcowskiego domu. Byłbyś wielokrotnie opisany, fotografowany, badany, odbito by na więziennym papierze odcisk Twoich palców i całej dłoni, jak to się czyni z notorycznymi złoczyńcami, potem usłyszałbyś, że jesteś darmozjadem i dotychczas nie zrobiłeś nic pożytecznego dla społeczeństwa. Potem wodziliby cię po różnych instytucjach, których za Twoich czasów nie było - oglądaliby Cię w najdrobniejszych szczegółach, wreszcie byłbyś ostrzyżony, ogolony, wykąpany razem z czeredą podobnych Tobie (teraz wstydu nie ma), wreszcie wywieziono by Cię do jakiegoś Arykty na pokutę za lata wędrówki”.

14. kwietnia 1966 r. zapisał w swym pamiętniku: „Takiej daty nie można zapomnieć, jak nie można zapomnieć prymicji”. Cóż takiego się wtedy stało?

Otóż otrzymał paczkę z opłatkami i winem, mógł odprawić w Arykty swoją pierwszą mszę świętą. Tak opisuje to wydarzenie: „Na ganku [...] Aleksander z tajemniczą miną, a w domu - paczka. Te Deum laudamus! Nie mogę mówić ni myśleć. A więc zacznie się nowe życie - znowu z Nim i przy Nim! Mistrzu! Magdalena płacze - a ja już nawet płakać nie mogę, chyba potem, po Mszy św. - po cichutku. W czasie Mszy św. przyszła niespodzianie jeszcze jedna kobieta, więc było ich czworo. Dziś rano tylko dwoje gospodarzy - ale to nic - teraz już mi nic więcej nie potrzeba”.

Zaczynają odwiedzać go wierni z Kazachstanu: z Tainczy i Szortand, których nie zraża podróż samolotem i następnie 12 km piechotą. Zanim nie napisał pierwszego listu z zesłania, nie wiedzieli, co się stało z ich kapłanem, nie mieli pojęcia o tym, że został aresztowany. On sam pisał: „Przecież w Arykty nie byłoby kapłana, gdyby nie moje *posielenie* [nakaz osiedlenia się]. Wczoraj pierwszych pięcioro spowiadało się, a dzisiaj raniutko mieliśmy uroczystą mszę świętą”.

Gdy 3. maja 1966 Polska świętowała uroczyste 1000-lecie chrztu, Serafin Kaszuba łączył się duchowo na zesłaniu z ojczyzną. Ze łzami w oczach modlił się w tym czasie z trójką innych Polaków słowami zawierzenia narodu Matce Najświętszej i litaniją.

Serce Jezusa, w łonie Matki Dziewicy przez Ducha Świętego utworzone, wraz z sercem Twojej Matki osłaniaj nas od wszelkiego zła. Amen

24. Pierwsze piątki na zesłaniu

Ponieważ zdrowie nie pozwalało mu na pracę w sowchozie, Czcigodny Sługa Boży podjął pracę introligatora. Była to też okazja, by uratować wiele cennych polskich książek. Przede wszystkim jednak rozwijał na zesłaniu działalność duszpasterską. Zapisał w pamiętniku: „6 V 1966. Dzisiaj nie odprawiłem rozmyślenia. Rano trzeba było iść do Kiliana (jeden z mieszkańców Arykty, w domu którego urządzono kaplicę), było parę osób do spowiedzi, nabożeństwo trwało prawie do południa. Ale za to cały dzień nie schodzą mi z pamięci słowa, z którymi się przebudziłem, a które po niezliczoną ilość razy przypominały się w Pierwszy Piątek, słowa o niedościgłych bogactwach Chrystusowych. „Mnie najmniejszemu ze wszystkich dana jest ta łaska.” Ile to już nawiązało się tych złotych ogniwi, którymi Chrystus przyciąga do siebie? Nie licząc dwunastu lat w Równem, w ciągu których Pierwszy Piątek mało kiedy był ograniczony do jednego kościoła, ile to innych wiernych miało sposobność korzystać z Wielkiej Obietnicy. Chyba już cudownie odprawiało się w Olecku. Różne i przeliczne były przeszkody, warunki dojazdu ciężkie, a przecież złoty łańcuszek się nie przerwał. Zawsze wychodzili na czas do pociągu, czasem czekając godzinami, potem milcząco prowadzili do coraz innej chaty i wszystko odprawiało się bez przeszkody. A te dwa lata ostatnie, prawie zawsze: Taincza,

Akmolińsk, Szortandy, czy to nie nieprzerwany cud łaski? Zawsze im to mówiłem i teraz może jeszcze lepiej pojmują jak dotychczas - podobnie jak i ja. Dziś rozpoczęliśmy nową nowennę. Jak na Arykty, było dość - 17, w tym czterech mężczyzn. Oby wytrwali. Mówiłem, że i dla nich otwiera się źródło łaski”.

Czcigodny Sługa Boży wspomina tu o nabożeństwie dziewięciu pierwszych piątków miesiąca. Miesiąc później, w czerwcu, zanotował: „5 VI 1966. Żenteki - nazwa brzmi tajemniczo, podobnie jak jakiś We-ka-ka lub inny nowoczesny kryptonim, ale dla mnie oznacza ona - radość. Już na wstępie miłe zdziwienie wywołuje szereg piętrowych budynków, gdzie przedtem były tylko kazachskie jurty z trawą na dachu. Przy chatach spotyka się trochę zieleni. Gospodarstwo Antoniego urządzone wzorowo. Zналиśmy się już trochę z moich poprzednich wizyt i z Akmolińska, toteż przy powitaniu znalazła się w oku jakaś łezka. Lecz mnie naprawdę zebrało się na płacz, kiedy zaczęli śpiewać. To już nie zawodzenie, ale męskie silne głosy. I młodzież, i dzieci, Boże, co za radość. Musiałem im powiedzieć, że w więzieniu tęskniłem za takim dniem. Tak rozpoczęliśmy Pierwsze Piątki, choć wedle czasu moskiewskiego, bo trzeba było wypowiedzieć do pięćdziesięciu osób. Dziś rano była prawie ta sama liczba i trochę więcej dzieci. Pocięchą napełnia widok modlącej się wspólnie rodziny, jak właśnie u Antoniego. Dzieci przywykają na zawsze”.

Działalność duszpasterska zaczęła nabierać tempa, szczególnie Pierwsze Piątki miały bardzo napięty harmonogram. Nie mogło to nie zostać zauważone przez odpowiednie organy, którym podlegał na zesłaniu. Czytamy w *Strzępach*, czyli w pamiętniku Czcigodnego Sługi Bożego: „31 lipca 1966. Jeśli Pan Bóg pozwoli, cały tydzień będzie pięknie wypełniony. We wtorek mają czekać siostry u Blumów - może to Porcjunkula. Ta mała kaplica z figurą św. Franciszka dobrze się na ten cel nada. We czwartek ma być żałobne nabożeństwo u Kelberów, potem pojedziemy do Żenteki. Może jeszcze wieczorem pochwalimy św. Dominika, a potem rozpoczniemy Pierwszy Piątek - w Żenteki trzeci, w Arykty czwarty, a w Kembedaiku po raz pierwszy. Wszystko na większą chwałę Bożą. Właśnie Anton zawołał taksówkę, którą mieliśmy się udać do Żenteki, kiedy przyjechała Rosa. Wczoraj w nocy przyjeżdżała za mną milicja, jakoby z *obłasci*. Niezwłocznie udałem się na poliklinikę. Po chwili zjawili się dwóch milicjantów i podeszli do mnie. Jeden z nich oświadczył, że jest komendantem *sowchoza* odległego o 300 km, dokąd mają mnie przesiedlić. Powoływałem się na skargę do prokuratury oraz zdrowie - ale teraz nie pomogło. Wszakże tam także ludzie żyją. Najgorsze, że Rosa zabrała wszystkie rzeczy. Jutro Pierwszy Piątek, a nie będzie można odprawić Mszy św. Nawet brewiarza nie mam, tylko różaniec, jak wówczas w więzieniu”.

6. sierpnia 1966 roku ojciec Serafin został przeniesiony do sowchozu w Arszatyńsku, odległego od Arykty ok. 350 km.

Serce Jezusa, domie Boży i bramo niebios, pozwól mi zawsze pamiętać o domu, który czeka na mnie w niebie. Amen.

25. Kolejne zesłanie

W pierwszych dniach zesłania do Arszałyńska Czcigodny Sługa Boży Serafin Kaszuba został przyjęty przez pewną protestancką rodzinę niemiecką. Została mu przydzielona praca przy ważeniu zboża. Otrzymał także zakaz opuszczania miejscowości. Potem został zatrudniony jako palacz w piekarni. W tamtym czasie odczuwał silne dolegliwości zdrowotne: miał gruźlicę płuc, bóle ucha, bóle serca. Władze nie pozwalały mu na wyjazdy do lekarzy poza sowchozem, nauczone doświadczeniem z poprzedniego miejsca pobytu, kiedy to korzystając z nich rozwinął w okolicy działalność apostolską. Jednak we wrześniu został zwolniony z pracy palacza i nie przyznano mu żadnej innej, ponieważ był już inwalidą.

W październiku Czcigodny Sługa Boży napisał list do przewodniczącego Urzędu do Spraw Wyznań w Moskwie, Władimira Kurojedowa, przedstawiając w nim swoją sytuację. 16. listopada 1966 kapłan odzyskał wolność. Przypisywał to Matce Boskiej Ostrobramskiej, której wspomnienie przypadało właśnie w dniu jego uwolnienia.

Natychmiast udał się do Celinogradu. Rozpoczął tam od nowa duszpasterstwo. Opieką duchową objął znów także Szortandy, Tainczę i inne miejscowości. Odwiedzał wiernych, odprawiał msze święte, spowiadał i katechizował - zawsze w ukryciu, pod osłoną nocy. Pisał także listy do władz i wysyłał do nich delegacje z prośbami o pozwolenie na otwarcie miejsc kultu i o odzyskanie prawa do swobodnego pełnienia funkcji kapłańskich. Było to jednak bezskuteczne, a czasem połączone nawet z przykrościami dla jego wysłanników.

Jego wiara w to, że przedstawiciele władzy sowieckiej zachowali choć resztki poczucia sprawiedliwości srodze się na nim zemściła. 22. grudnia 1966 r., dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia, został ponownie aresztowany i skazany na jedenaście lat pobytu w odosobnieniu. Tym razem został umieszczony w domu dla inwalidów i nieuleczalnie chorych w miejscowości Mała Timofijewka w Kazachstanie, odległej od Celinogradu o ok. 25 km.

Także tu Czcigodny Sługa Boży starał się wykorzystać okazję do rozmów ze współmieszkańcami, do spieszenia im z pomocą duchową. Nie mógł jednak rozwinąć działalności apostolskiej ze względu na brak katolików. Zanotował w pamiętniku:

„Obumieram co dzień - tylko trzeba się łączyć z Chrystusem. (...) Nie wolno uważać się za człowieka niepożytecznego, który się już do niczego nie nadaje. A ja właśnie to rozpisuję na cały świat i rozbijam się w bezsilnej męce, jak ptak w klatce. A może to właśnie ta ofiara potrzebna była, a nie moja niedołączna służba. Ileż to pomyłek i błędów trzeba odpokutować i naprawić”.

Czcigodny Sługa Boży postanowił zbiec z miejsca zesłania. Mimo niskich temperatur i obfitych opadów śniegu odbywał długie spacerki, aby przygotować się do ucieczki. Nastąpiła ona w Środę Popielcową, 8. lutego 1967 roku. Z pomocą

przyszły mu Katarzyna Latikan i Franciszka Jaworska, u których następnie przebywał przez jakiś czas w Celinogradzie. Dyrekcja zakładu dla inwalidów i nieuleczalnie chorych, w którym przebywał, nie wszczywała poszukiwań, być może niewygodne było dla niej przyznanie się do nieupilnowania Czcigodnego Sługi Bożego.

Znajdując się ponownie na wolności polski kapucyn natychmiast objął troską duszpasterską wiernych zamieszkałych w Celinogradzie, Szortandach, Tainczy i w okolicznych miejscowościach.

Serce Jezusa, w którym sobie Ojciec bardzo upodobał, naucz nas czynić wszystko według Twojego upodobania, a nie według naszej woli. Amen.

26. Po latach w Ojczyźnie

7. sierpnia 1968 roku w Stalowej Woli zmarła siostra Czcigodnego Sługi Bożego, Maria Kaszuba. Było to dla niego trudne doświadczenie, to z nią przecież przez całe swoje życie prowadził bogatą korespondencję. Po otrzymaniu telegramu natychmiast podjął starania, by wziąć udział w pogrzebie. Nie udało się to jednak. Załatwianie formalności trwało cały miesiąc, nie było bowiem łatwo mieszkańcom Związku Sowieckiego wyjeżdżać poza jego granice, a to obywatelstwo musiał przyjąć Czcigodny Sługa Boży, aby móc pozostać z wiernymi.

Pierwszy raz po wojnie stanął znów na polskiej ziemi. Swoje kroki Czcigodny Sługa Boży skierował od razu do Stalowej Woli, na wspólną mogiłę najbliższych: ojca i siostr: Janiny i Marii. Z klasztoru rozwadowskiego udał się do Sędziszowa Małopolskiego, do klasztoru, w którym rozpoczynał życie zakonne. Stąd pojechał do Krakowa. Wspólnota krakowskiego klasztoru przyjęła go z wielką radością. Następnie Czcigodny Sługa Boży udał się do Wrocławia, by spotkać się ze swymi siostrzeńcami: Janem i Kazimierzem Pompowskimi. Zamieszkał w klasztorze kapucynów przy ul. Sudeckiej. We Wrocławiu nawiązał kontakty ze swymi dawnymi parafianami z Kresów, którzy przenieśli się na zachodnie tereny Polski. Niektórzy z nich, gdy dowiedzieli się, że ich dawny duszpasterz jest w Polsce, odwiedzali go oraz zapraszali do siebie. Wyjeżdżał m. in. do Dzierżoniowa, Niemczy, Wolan, dwa razy był także w Warszawie na spotkaniu z Księdzem Prymasem Stefanem Wyszyńskim. Oprócz tego w tym czasie otrzymywał wiele listów od dawnych parafian z Dermanki, Horodnicy, Równego, Ostroga, Zdołbunowa, Dubna i innych miejsc Wołynia.

Stan jego zdrowia był już niestety bardzo zły, miewał krwotoki z płuc. Zdecydował poddać się we Wrocławiu, w szpitalu przy ulicy Grabiszyńskiej, leczeniu gruźlicy. Wspomina doktor Julian Winkler: „Chory bardzo chętnie poddawał się leczeniu. Był pacjentem zdyscyplinowanym, a przy tym mocno uduchowionym. Wszystko łączył z modlitwą, pamiętam, że w czasie swego

pobytu wywierał bardzo dobry wpływ na otoczenie, które sobie z miejsca zjednał. Odprawiał nabożeństwa w kaplicy szpitalnej, miał z chorymi pogadanki duchowe, a w godzinach wieczornych odmawiał z nimi na sali pacierze i modlitwy. To się rzadko spotykało. Wówczas był ostry reżim ze strony władz, a jednak to wszystko szczęśliwie uchodziło i nie mieliśmy z tego powodu żadnych kłopotów”.

Początkowo stan zdrowia Czcigodnego Sługi Bożego poprawiał się. Po jakimś czasie przyszedł jednak nawrót choroby i związany z tym kolejny pobyt w szpitalu i resekcja płuca. Swoje cierpienia przyjmował jednocząc się z Jezusem w intencji swoich podopiecznych zamieszkałych w ZSRR.

Siostrzeńcy, współbracia zakonni i dawni parafianie mieszkający w Polsce namawiali Czcigodnego Sługę Bożego, aby pozostał w kraju. On jednak szukał przede wszystkim woli Bożej. Pragnął wrócić do Związku Sowieckiego. W tym czasie wierni z Kazachstanu, nie znając do końca sytuacji zdrowotnej ojca Serafina, obawiali się, że Czcigodny Sługa Boży ich opuścił. Zorganizowano składkę na opłacenie przyjazdu do Polski specjalnej emisariuszki katolików z Kazachstanu. Kiedy przybyła do Wrocławia i stanęła przy łóżku szpitalnym, uklękła i przeproszała Czcigodnego Sługę Bożego. Okazało się, że nie zdawali sobie sprawy, w jak ciężkim stanie się znajduje i posadzili go o to, że nie chce do nich wrócić. Przełożony klasztoru wrocławskiego, br. Euzebiusz Kawalla, powiedział tej kobiecie, że teraz o. Serafin Kaszuba byłby dla nich tylko ciężarem. W odpowiedzi usłyszał, że on włożył tam tyle pracy i ludzie są tak do niego przywiązani, że gdyby nawet był chory, to będą robić wszystko, aby z nimi był. Rzeczywiście, z Kazachstanu docierały do niego kolejne listy i prośby wiernych, aby ich nie opuszczał, bo od dłuższego czasu nie uczestniczyli we Mszy Świętej, nie mieli okazji do spowiedzi i dostępu do innych sakramentów. Powrót Czcigodnego Sługi Bożego był oczekiwany także przez jego przyjaciela, księdza Władysława Bukowińskiego (dziś już błogosławionego), który go nawet odwiedził we wrocławskim szpitalu.

Serce Jezusa, cnót wszelkich bezdenna głębino, prosimy Cię, wlej w nasze serca potrzebne nam przymioty, cnoty, które pozwolą nam przejść przez życie w wierności Tobie i Twojej Ewangelii. Amen.

27. Powrót na niwę Pańską

Na wiosnę 1970 r. zdrowie Czcigodnego Sługi Bożego zaczęło się poprawiać. Dzięki życzliwości konsula rosyjskiego w Poznaniu otrzymał przedłużenie wizy. Przez kilka tygodni w ramach rekonwalescencji przebywał w kapucyńskim klasztorze w Tenczynie koło Myślenic. Znając potrzeby duchowe swych wiernych, pisał do Kazachstanu: „Przeżywam niedawno minione, a przecież tak odległe lata. Właściwie nigdzie takich świąt jak u Was nie miałem. Tak bardzo niezwyklej w swojej prostocie rezurekcji. Z odległości wspomnienia te nabierają jeszcze większej mocy. Tutaj się dziwią, że wciąż o tym mówię.

Starają się mnie zatrzymać. Gdyby chodziło o wygody, nie można by się wahać. Ale przecież nie na to Pan Bóg przywraca mi zdrowie, żeby szukać łatwego życia”.

Za zgodą przełożonych, 13. czerwca 1970 roku, w dzień poświęcony św. Antoniemu Padewskiemu, zrealizował swoje pragnienie i przekroczył granicę Polski. W drodze do Kazachstanu odwiedził we Lwowie groby matki i brata, także miasta Równe i Zdołbunów. W Kazachstanie zamieszkał w Celinogradzie i przystąpił do pracy duszpasterskiej. Jak wcześniej - podczas nocnych celebracji udzielał sakramentów, odwiedzał chorych. Próbował ukryć swoje prawdziwe działania, oddając się introligatorce, ale nie udało mu się pozostać niedostrzeżonym przez tamtejsze władze. Postanowiono użyć do rozprawy z nim wypróbowanej już metody i oczernić go w miejscowej prasie. W dzienniku „Celinogradska Prawda” 12. września 1970 r. ukazał się artykuł zatytułowany „Starzy znajomi”, w którym zarzucano mu bałamucenie ludzi i wyłudzenie od nich pieniędzy. Czcigodny Sługa Boży postanowił zniknąć na jakiś czas z Celinogradu, aby nie zostać znowu zatrzymanym na podstawie tych fałszywych oskarżeń. Udał się do Ałma-Aty, a potem do wiernych rozproszonych na Syberii. Działał w Nowosybirsku, Kańsku, Krasnojarsku, Pietropawłowsku i Ordżonikidze. Pisał: „Czuję się zawsze błogo zwłaszcza w czasie świątecznym, który szybko mija. Temu poczuciu nie przeszkadza świadomość, że lampa dogasa i kopci. Tak być musi w zwykłym porządku rzeczy. Doktor Winkler przepowiedział mi jeszcze dziesięć lat, a już dwa upływają od operacji. Tutejszy lekarz powiedział jaśniej, że jeśli choroba powróci, to nie będzie *nikakowo spasiennija* [żadnego ratunku]. Jest to dość zrozumiałe, ale na razie czuję się nieźle poza sporadyczną dusznością i kolkami w boku, które czasem ustępują”.

W 1973 r. powrócił do Tainczy i Celinogradu w Kazachstanie. Nadwyręzenie organizmu spowodowało, że choroba przypuściła generalny atak, wskutek czego lewe płuco zostało prawie zupełnie zniszczone i rezultat operacji zaprzepaszczoney. W maju 1974 r. Czcigodny Sługa Boży znalazł się w szpitalu przeciwgruźliczym w Tainczy. Po opuszczeniu go odwiedzał jak zwykle różne miejscowości. Z powodu krwotoku, jaki miał w nocy z 28/29. czerwca 1974 roku ponownie musiał przebywać pod opieką lekarską. Tym razem było to w szpitalu dla weteranów wojennych we Lwowie. Dbali o niego dobrzy lekarze. Troszczył się też o niego proboszcz katedry lwowskiej. ojciec Rafał Kiernicki z Zakonu Franciszkanów Konwentalnych, późniejszy biskup. Podczas hospitalizacji odwiedzali go też wierni ze Lwowa i innych miejsc, nawet z Kazachstanu. Niestety, 3. grudnia 1974 roku zmarł w Karagandzie jego przyjaciel, ksiądz Władysław Bukowiński. Tym bardziej nagliła potrzeba kapłanów na terenie Kazachstanu i Syberii. W 1975 roku, gdy Czcigodny Sługa Boży poczuł się lepiej, udał się na Wołyń, przez Moskwę dotarł do Leningradu, gdzie skorzystał z pomocy lekarskiej. W maju 1976 powrócił do Kazachstanu.

Serce Jezusa, z którego pełni wszyscyśmy otrzymali, dopomóż nam żyć

pełnią życia duchowego. Rozszerz nasze serca na obfite przyjmowanie łask sakramentalnych i słuchanie Twojego Słowa. Amen.

28. Znowu „na pełnych obrotach”

We wrześniu 1976 roku Czcigodny Sługa Boży Serafin wziął udział w rekolekcjach kapłańskich w Nowogradzie Wołyńskim na Ukrainie. Tam odprawiał Msze Święte w domach prywatnych. W czasie jednej z tych celebracji poznał kobietę, której syn, Anatol, miał infekcję krwi w lewej nodze. Czcigodny Sługa Boży, aby mu pomóc, wspólnie z chorym i jego matką udał się do Leningradu, gdzie miał swoich znajomych lekarzy, którzy byli w stanie wyleczyć tę dolegliwość. Anatol Monżyjewski wspomina: „W pamięci pozostało mi to, że on zajął się mną i pojechał ze mną niemal 1000 km, by mi pomóc. Coś takiego rzadko się spotyka”.

W okresie Wielkiego Postu i Wielkanocy w 1977 roku Czcigodny Sługa Boży podróżował po Kazachstanie z posługą kapłańską. Był pełen radości, ponieważ na tym terenie zaczęło się odczuwać klimat bardziej przyjazny dla wierzących, pewnego rodzaju „odwilż”. Powstawały kaplice w Karagandzie, Duszanbe, Tainczy. Właśnie kaplica w Tainczy była od lat obiektem zabiegów czcigodnego Sługi Bożego. Po wielu staraniach miejscowa wspólnota wiernych otrzymała pozwolenie na jej otwarcie, pod warunkiem, że wędrowny kapłan, Serafin Kaszuba, nigdy nie będzie w niej odprawiał Mszy Świętej. Była to swoista zemsta władzy sowieckiej na Czcigodnym Słudze Bożym. Komitet przykościelny nie mógł przy tym wyjaśnić mu swej postawy. Z jednej strony okazywano chęć pomocy w chorobie i zapewniano o gotowości opieki aż do śmierci, a z drugiej nie dopuszczano go do żadnej celebracji w nowej świątyni. Zrozumiał był więc smutek i żal Czcigodnego Sługi Bożego, który nie potrafił zrozumieć takiej postawy wiernych.

W tym czasie nasz bohater otrzymał wiadomość z Taszkientu w Uzbekistanie, że pracujący tam kapłan, prałat Kalder, opowiedział się po stronie francuskiego biskupa Lefebvre’a i nie uznawał decyzji Soboru Watykańskiego II, czym siał zamieszanie wśród wiernych. Czcigodny Sługa Boży odczuł jako swój obowiązek udanie się do Taszkientu, nie bacząc na trudy i niesprzyjające warunki klimatyczne, aby przywrócić jedność, a także w trosce o błądzącego współbrata w kapłaństwie. Można przypuszczać także, że Czcigodny Sługa Boży podczas swoich spotkań z Prymasem w Polsce otrzymał od niego specjalne uprawnienia na potrzeby Kościoła w republikach sowieckich.

Po krótkim pobycie w Taszkencie udał się do Lwowa, a potem do Równego i do wielu innych miejscowości, aby odwiedzać wiernych.

Serce Jezusa, sprawiedliwości i miłości skarbnico, wzbudź w nas miłość do naszych bliźnich i do Twojego Kościoła, abyśmy nie byli beczynni wobec zła i

niesprawiedliwości. Amen.

29. Do domu Ojca

19. września 1977 roku, przed odprawieniem Mszy Świętej w jednym z domów w Równem, Czcigodny Sługa Boży powziął decyzję o wyjeździe do Leningradu dla poratowania zdrowia. Zmienił zamiar i po Eucharystii postanowił udać się do Lwowa. Takie zmiany decyzji nie były czymś zaskakującym w jego życiu, wynikały one z ciągłego procesu rozeznawania woli Bożej, który przeprowadzał.

Autobus, którym jechał z Równego do Lwowa, miał awarię. Padał deszcz, było zimno. Podróżni nie pozostali w autobusie i nie czekali na ewentualną naprawę, lecz postanowili pieszo przebyć pewien odcinek drogi. Po jakimś czasie skorzystali z innego pojazdu i tak dotarli do Lwowa. Deszcz, niska temperatura i trudy marszu bardzo negatywnie wpłynęły na stan zdrowia Czcigodnego Sługi Bożego.

Dodatkową nieszczęśliwą okolicznością w tym dniu było to, że w domu pań Zappe, gdzie miał zamiar przenocować, szukała go wcześniej milicja. Nie chcąc narażać jej rodziny na kłopoty, postanowił zatrzymać się gdzie indziej. Niestety, także sąsiadka pani Zappe, Helena Hasij, nie mogła go tej nocy przyjąć, gdyż miała już innych gości. W końcu przygotowano mu nocleg u znajomej pani Heleny Hasij, Katarzyny Barnicz. Zanim jednak mógł tam odpocząć, będąc w bardzo złej kondycji fizycznej, czekał na ulicy, aby zachować wymogi konspiracji. Kiedy już otrzymał pokój, nie położył się od razu na spoczynek, ale postanowił odmówić brewiarz. Po pewnym czasie mieszkający u Katarzyny Barnicz kleryk Wasyl zauważył, że mimo późnej godziny wciąż pali się światło w pokoju gościa. Przypuszczał, że kapłan zasnął przy zapalanej lampie. Gdy wszedł do pokoju, aby ją zgasić, znalazł go martwego, siedzącego na krześle, z głową opartą na brewiarzu i z prawą ręką na sercu. Serce pełnego miłości zakonnika, kapłana, serce podążające za Sercem Jezusowym, przestało bić. Był 20. września 1977 roku, około godziny 1.30 w nocy. Z medycznego punktu widzenia przyczyną śmierci była gruźlica.

Wiadomość o śmierci kapucyńskiego apostoła przekazywano sobie z ust do ust, także drogą telefoniczną, telegraficzną i poprzez listy. Dotarła ona do wielu miejscowości na Wołyniu i Podolu, a także na Syberię, do Kazachstanu, za Ural i do Taszkientu – wszędzie tam, gdzie był on znany i kochany przez wiernych.

Ciało zmarłego zostało umieszczone w kaplicy Instytutu Anatomii przy ulicy Piekarskiej we Lwowie, gdyż władze zakazały wniesienia go do katedry. To one także zarządziły, by pochówek odbył się możliwie jak najszybciej, aby jego przyjaciele i wierni nie mogli się licznie zgromadzić. Z tego powodu prowincjał kapucynów i współbracia Czcigodnego Sługi Bożego Serafina, mieszkający w Polsce, nie byli obecni na pogrzebie. Mimo wszystko w ostatniej drodze Apostoła

Kresów, Kazachstanu i Syberii towarzyszyło mu około trzystu osób, w tym kilkunastu księży.

Serce Jezusa, aż do śmierci posłuszne, spraw, aby według słów św. Pawła Apostoła, ani śmierć, ani życie, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe nie zdołały nas odłączyć od Twojej miłości (Rz 8, 38-39). Amen.

30. Pogrzeb i starania o beatyfikację

Wszelkie sprawy formalne i materialne związane z pogrzebem i wykonaniem nagrobka Apostoła Kresów, Kazachstanu i Syberii, Serafina Kaszuby, kapucyna, wzięła na siebie parafia katedralna we Lwowie. Liturgii pogrzebowej przewodniczył ksiądz Ludwik Kamilewski, wikariusz z katedry. Wśród duchownych był obecny proboszcz katedry lwowskiej, ojciec Rafał Kiernicki, franciszkanin konwentualny, późniejszy pomocniczy biskup lwowski. Znał on dobrze Czcigodnego Sługę Bożego Serafina, wielokrotnie opiekował się nim, zwłaszcza gdy przebywał on w szpitalach na terenie Lwowa. Homilię wygłosił ksiądz prałat Antoni Chomicki, proboszcz z Murafy (Podole). Serafin Kaszuba został pochowany na cmentarzu Janowskim we Lwowie, w pobliżu grobu świętego biskupa lwowskiego, Józefa Bilczewskiego, i czterech innych kapłanów. Napis na jego płycie nagrobnej brzmi: „Stałem się wszystkim dla wszystkich” (1 Kor 9, 22). Wierni, którzy nie mogli dotrzeć na czas na pogrzeb, udawali się na cmentarz Janowski, by nawiedzić grób swego umiłowanego duszpasterza i odwdzińczyć się mu swoją modlitwą. Wśród osób, które znały pokornego zakonika z zakonu kapucynów narastało też przekonanie, iż należy rozpocząć jego sprawę beatyfikacyjną.

Oficjalne starania o rozpoczęcie sprawy beatyfikacyjnej Krakowska Prowincja Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów podjęła w 1989 roku, choć przygotowania do niej trwały już wcześniej.

31. października 1992 roku kard. Franciszek Macharski wydał dekret, otwierający sprawę beatyfikacyjną Serafina Kaszuby, kapucyna.

22. grudnia 2001 w kaplicy arcybiskupów krakowskich pod przewodnictwem księdza kardynała Franciszka Macharskiego, arcybiskupa metropolity krakowskiego, zakończone zostało postępowanie diecezjalne sprawy beatyfikacyjnej Sługi Bożego Serafina Kaszuby. Dokumenty procesu przekazane zostały do Kongregacji ds. Kanonizacyjnych w Rzymie.

16. listopada 2010 we Lwowie na cmentarzu Janowskim przeprowadzono ekshumację ciała Sługi Bożego Serafina Alojzego Kaszuby. 17. listopada przewieziono doczesne szczątki Sługi Bożego do oddalonego o 370 km klasztoru Braci Mniejszych Kapucynów w Winnicy. W kościele tym umieszczono trumnę w lewej nawie bocznej w nowoprzygotowanym grobie.

9. października 2017 r. papież Franciszek podpisał dekret o heroiczności cnót Sługi Bożego Serafina Kaszuby i tym samym przysługuje mu odtąd tytuł Venerabilis Dei Servus – Czcigodny Sługa Boży. Cnoty heroiczne to cnoty wyrastające ponad przeciętność, tytuł Czcigodnego sługi Bożego oznacza osobę, która nie tylko umiała żyć bez grzechu ciężkiego, ale odznaczyła się szczególną miłością Boga i bliźniego oraz innymi cnotami. Aby Czcigodny Sługa Boży został beatyfikowany, musi dokonać się jeszcze za jego przyczyną cud uzdrowienia lub innego zawieszenia praw natury dla uratowania komuś życia. O takim wydarzeniu należy niezwłocznie poinformować Braci Kapucynów.

Serce Jezusa, życie i zmartwychwstanie nasze, przyjmij ofiarę trudów apostołskich, prześladowań i całego życia Czcigodnego Sługi Bożego Serafina Kaszuby i za jego wstawiennictwem udziel nam łask o które Cię prosimy. Amen.

Za zgodą władzy kościelnej.

Postulacja Sprawy Czcigodnego Sługi Bożego Serafina Kaszuby
Ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków